Nr. 1. Poznań, dnia [illegible] stycznia 1909 r.

Abonament wynosi kwartalnie na poczcie . . . 1,50 z odnoszeniem do domu . . 1,62 pod opaską . . 2,75

PRACA

Adres Re... Pozn... ul. Rycersk... Telefon Nr... Ogłoszeni... od wiersza drobn... 30 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Na Nowy Rok.

Znowu Nowy Rok podnosi się na przestrzeni dziejów i znów feljetoniści chwytają za pióra, by podzielić się z czytelnikami rozmyślaniami noworocznemi.

W naszych stosunkach rozmyślania te nie mogą być wesołe. Toć życie nasze polityczne składa się z pasma małych i wielkich bolów, z troski i udręki, a rzadko jakiś jaśniejszy promyk zamigoce nad szarą naszą dolą.

Długich 365 dni składa się na ten pyłek maleńki w przestrzeni niezmierzonego czasu, który rokiem zowiemy, a krótka chwila stanowi o losie człowieka, ba, o losie całego narodu. Jeden czyn, jedno postanowienie, przypadek wpływa na ukształtowanie się życia jednostek, wyciska swe piętno na losach pokolenia. A ileż takich chwil mieści się w roku? Więc z bijącem sercem stawamy na progu nowego roku, który otwiera przed nami bezmiar najprzeróżniejszych możliwości. Chcielibyśmy przeniknąć, odgadnąć tę przyszłość ciemną, którą czas ku nam w tajemniczych niesie ramionach, przyszłość, której każda chwila we ważne brzemienna wypadki.

Nie sięgnąć oku ludzkiemu za zasłony przeznaczenia. I lepiej tak, gdyż ta nieświadomość jest może najlepszą cząstką naszą na świecie. Ona bowiem żywi nadzieję, te potęgę przedziwną, która tysiąckroć oszukana, wciąż się na nowo odradza i nowych sił użycza znużonemu pracą bojownikowi. Więc niechaj nadzieja będzie naszym żywiołem. Ona niechaj krzepi nasze siły, niechaj nas napawa ufnością, że, jakkolwiek źle jest, nie zawsze źle będzie.

Głośne jest dzisiaj pogańskie hasło głoszące, że siła idzie przed prawem, rozbrzmiewa Brennusowy okrzyk „biada zwyciężonym", lecz wiedzmy, że hasła te, jakkolwiek głośne i powszechne nieomal, prędzej czy później będą musiały umilknąć gdyż ...
i prawda silniejsze są niż mie...
fałsz.

Chrześciaństwo, niesp...
Chrystusowa, wielką, ...
jest potęgą. Działa...
powoli działały ow...
które harmonię w...
lily z kotłującego...
i nad światem z...
gosławione zor...
Prędzej czy późni...
się zaczną haseł ...
głoszonych. Prędz...
na świecie gwałt z...
jak zelżał gwałt za...
kom w sferze ściśle...

Polepszenia doli ...
się możemy prze...
zwycięstwie idealiz...
obecnie powszechni...
My Polacy jesteśmy...
tego zbawiennego, i...
stka. Nie ma drugieg...
tak silnie uwydatni...
i ducha, tak ufał w ...
jącą i odnawiającą ...
który wyzbył się ...
materyalnej siły. I...
że dwie są rzeczywi...
miecz i idea, niemniej jest prawdą, że ostatecznie idea silniejszą jest od miecza i nawet jego siłę w służbę swoją zaciąga.

Z nami walczy brutalna siła miecza. My jej przeciwstawiamy siłę naszego serca, siłę ducha naszego, potęgę idei wzniosłej i słusznej, i świat zdumiony przekonuje ... że bezsilny jest miecz
i ... ...ec tej niemate-
... przeciw-

...uż północ bije...

... północ bije z miejskiej wieżycy...
...onał rok stary z jękiem tęsknicy,
...o mieści w sobie gorycz i żale,
Spłynął gdzieś, kędyś w przeszłości
fale.

Wznoszą się szczęścia spragnione
dłonie,
Pragnieniem szczęścia setki serc płonie,
Ciszy, spokoju, drży ust tysiące,
A z ócz łzy płyną wielkie, gorące.

Wtem biały obłok błysnął w przestrzeni
I w mgle utkanej z gwiazdnych pro-
mieni,
Spływa Rok Nowy, pobudkę dzwoni.
Ach, którez serce echo jej strwoni?

Pełen otuchy biegnę w wasz próg,
Kędy na świadka zsyła mnie Bóg,
Skryję się w sercach pod wasz dach
I będę z wami na jawie, w snach,
I będę trzymał nad wami straż,
Jakby stróż Anioł, nie jak wróg wasz!

Ale mój ludu, wśród miast, z pod

Strzeż się...

Noworoczny obrachunek.

(List z Galicyi).

(Własna korespondencya „Pracy“).

Nowy Rok to czas obrachunku z dorocznej przeszłości, z zysków i strat w narodowym bilansie. My wszyscy na ziemiach polskich zaczynaliśmy zeszłoroczny rok 1908 pod złemi wróżbami. W Królestwie powrotna fala reakcyi i zamieszanie pojęć w kraju, w Poznańskiem widmo nowych ustaw wyjątkowych, których projekty wniesiono już do ciał ustawodawczych, a co do których uchwalenia mieliśmy jeszcze pewne wątpliwości, pewne nadzieje.........

Dziś nadzieje te prysły, przyszła twarda rzeczywistość.

Jeżeli rok ubiegły w życiu naszego narodu w dwóch innych zaborach wyrządził poważne szczerby to jednak w życiu Polaków nie zostawił on najgorszych wspomnień. Lata ostatnie w Galicyi w zakresie życia politycznego to okres budzenia się świadomości wśród szerokich mas ludowych, świadomości wyzyskanej przez jedną frakcyę polityczną t. zw. stronnictwo ludowe do zaostrzenia antagonizmów klasowych, do pogłębiania walki politycznej z o... bezwzględnością prowadzonej. ...two ludowe potrafiło tenden... ...nąć oprócz tanich, radykal... ...wszelkie niedole i bolączki ...tórych doskonały teren ...widząca a przez to ...nna polityka kon... ...szości. Pierwsze ...y do parlamentu ...inne ugrupowania ...erenie wiedeńskim. ...e umiejące dobrze ...cyę przez wysunię... ...ojcem słynny „gene... ...licyjski z 1848 r. hr. ...wybierajcie chłopa“), ...entu w wcale pokaź...

...awniej poza Kołem ...czątku ery konstytu... było to na prawdę ... reprezentacyi naszej ...y poprzednio stało po... ...u posłów to teraz gdy ... wpływów ruskich ... byliśmy poważnie o... ...oza Kołem 17 posłów ... lud wybranych pod ...Kołem polskiem.“ By... ...ej zasady solidarności wobec obcych, zaprzeczenie jakoby lud dla tej idei był pozyskany.

I fakt, że w roku przeszłym dnia 9-go kwietnia dokonało się to zjednoczenie całej reprezentacyi poselskiej polskiej na terenie parlamentarnym wiedeńskim, stanowi bądź co bądź w politycznem naszem życiu okres przełomowy, nad którego ogromną doniosłością zbyteczna tu się szerzej zastanawiać.

Nie tu miejsce zdaje mi się także i po temu wchodzić łącznie z tym faktem w ściślejsze motywy tego kroku u leaderów stronnictwa ludowego, charakteryzować zasadniczą zmianę kierunku i taktyki polityki do tej pory w tem stronnictwie obowiązujących i nowe kwestye na tem tle powstałe — bo temat to raczej do odrębnego artykuliku.

Takie ukształtowanie się stosunków było nad wyraz na czasie wobec naszych nieszczęść, jakie nas dotknąć miały. W trzy dni po wstąpieniu ludowców do Koła polskiego padł we Lwowie z ręki ukraińskiego działacza hr. Potocki, namiestnik Galicyi. Padł za to, że był przedstawicielem polskich rządów w tym kraju mimo czynionych Rusinom ustępstw i starania się o jak najmożliwsze z nimi stosunki. Zemściła się na polskiem społeczeństwie stara praktyka ugodowej polityki, tej polityki, co pchała nas do stwarzania i popierania na gwałt ruchu ukraińskiego przeciw Starorusinom, co kazała nam wbrew woli Rusinów nawet, tworzyć kwestyę ruską w szkolnictwie przez *polskiego* wiceprezydenta Rady szkolnej krajowej, co wskazywała nam jako krok wysoce polityczny zaniedbanie pod względem narodowym i religijnym 1 i pół milionowej ludności polskiej w Galicyi wschodniej by.... „nie drażnić Rusinów.“

I dopiero ten krok otworzył wielu ludziom oczy przedewszystkiem zeelektryzował samo społeczeństwo, urobił i ustalił *opinię* naszą w kwestyi ruskiej. I chociaż społeczeństwo, które domagało się od następcy na stolcu namiestnikowskim silnej ręki nie przeciw Rusinom, bo obca mu wszelka w stosunku do bratniego narodu agresywna polityka — ale w obronie naszego stanowiska politycznego i narodowego w wschodniej części kraju, choć dziś społeczeństwo stoi wobec pogłosek swą treścią przerażających w nowym kursie „ugodowej“ polityki polsko-ruskiej to jednak nie jest ono już w tej kwestyi rozbite, lecz w stosownej porze potrafi swego dopilnować.

I to jest ogromne plus. Społeczeństwo rozumie, że spór z Rusinami skończyć może nie via Wiedeń przez po-

średnika, który go wywołał i w którego interesie on leży, ale samo u siebie w domu. Tem się też tłómaczy jego parcie do samodzielności, do autonomii kraju.

Akcyę w tym kierunku zaincyonowano. Wnioski autonomiczne posłów narodowo - demokratycznych zgłoszone na jesiennej sesyi sejmowej pociągnęły za sobą sympatyę całego społeczeństwa. Sejm uchwalił z nich w formie nieco okrojonej dopiero jeden posła Sali — ale to pierwszy wyłom, który powoduje większą energię aby uzyskać spełnienie wszystkich w tej dziedzinie postulatów.

Nie ulega wątpliwości, że te ważne polityczne wypadki wzmocniły znacznie naszą pracę kulturalną w rozlicznych instytucyach. I gdy na polu politycznem nowe kiełkować zaczynają ziarnka, nowe zaczynają się harce, bo starzy przeciwnicy teraz w zgodzie i wzajemnem szacunku pędzą nici żywota, wzmacnia się i rozszerza ciche praca oświatowa w Tow. Szkoły ludowej, a najlepszym tego dowodem, że kiedy lat temu parę czynne były tylko koła w Galicyi wschodniej to dziś i koła zachodnio-galicyjskie śmiało innym dotrzymują kroku o ile wielu już intensywnością swą nie przewyższają.

Pogłębia się praca ekonomiczna wśród ludności rolniczej w kółkach rolniczych. Kraj, który w tym roku tyle ucierpiał od klęsk elementarnych, takiej pracy podnoszącej dobrobyt najliczniejszej warstwy koniecznie potrzebuje. Szerzy się jak dawniej po wsiach duch zorganizowanych działań, myśl asocyacyi w kasach Reiffeisena i coraz liczniej powstających różnego rodzaju spółkach rolniczych, z których jedne przeprowadzające zorganizowany handel nierogacizną, zaincyonowane dopiero w ubiegłym roku rozwinęły się w ciągu kilku miesięcy do niebywałych rozmiarów.

Sprawę oświaty i szkolnictwa rozwiązuje ostatecznie tak wyczekiwane rozporządzenie Rady szkolnej krajowej, według którego do września 1910 we *wszystkich* gminach kraju szkoły mają być zorganizowane.

Jedno więc mimo wszystko powiedzieć można: żyjemy i wzmacniamy się. I tak jak wy mimo spodziewanych nowych środków w polityce antypolskiej nie tracicie ducha i rozwijacie się tak i my mimo gromów, które w nas uderzają, mimo ducha niezgody i dezorganizacyi jednoczymy się do wspólnej twórczej pracy . . . . . aż do skutku.

Oby ten Rok Nowy nam wszystkim lepsze przyniósł owoce.

Obserwator.

Książka Jubileuszowa „Dziennika Poznańskiego.“

Jak już w ostatnim numerze pisma naszego wspomnieliśmy, wydał „Dziennik Pozn.“ celem uświetnienia swego pięćdziesięciolecia i utrwalenia pamięci jego, książkę Jubileuszową, która ze wszech miar jaknajdodatniejsze sprawia wrażenie

Dzieło to — bogato i artystycznie ilustrowane — zawiera — szczególniej w pierwszej części — nader cenne prace, które zapewniają mu znaczenie łe, znaczenie dokumentu poniekąd. Znajdujemy tam obok szeregu znakomitych pomniejszych rzeczy, gruntownie opracowaną historyę „Dziennika“ do roku 1864 pióra prof. Karwowskiego — tudzież dwa wyborne społeczne studya ks. Zimmermanna oraz sumienną pracę Wacława Swinarskiego o Centralnem Tow. Gosp. i o kółkach włościańskich.



Ks. K. Zimmermann.



Marya Kościelska.

Na część drugą złożyły się drobne przyczynki kilkudziesięciu publicystów polskich, przeważnie aktualnych lub byłych współpracowników „Dziennika.“ Znajdujemy pomiędzy nimi imiona zaszczytnie znane w naszej dzielnicy, a także takie, które swą sławą całą polską zapełniły ziemię.

Książkę poprzedza dziesięciostronny artykuł obecnego naczelnego redaktora „Dziennika“ p. Kaźmierza Puffkiego.



Stanisław Kempner.

Z artykułu tego wyjmujemy — ze względu na szczupłe nasze łamy — ważniejsze tylko ustępy i podajemy poniżej.

Pan Kaźmierz Puffke pisze tam:

„Pięćdziesiąt roczników „Dziennika“ zawiera całokształt życia politycznego, społecznego, gospodarczego i umysłowego w wielkopolskiej ziemi. Czytelnik uważny znajdzie w nich wszystkie drgania duszy naszego społeczeństwa w ostatnich pięćdziesięciu latach, wszystkie walki, wszystkie nadzieje i zawody, sukcesy i niepowodzenia, zwycięstwa i klęski.

I widzimy, jak w ciągu tej walki i po części pod jej wpływem dokonywa się radykalna ewolucya w łonie naszego społeczeństwa. W chwili więc, gdy powstawał „Dziennik Poznański“ ciężar obrony zagrożonych naszych interesów narodowych spoczywał wyłącznie na barkach większej własności ziemskiej, duchowieństwa i bardzo nielicznej jeszcze w owych czasach inteligencyi miejskiej. Dzisiaj świadomość narodowa i poczucie obowiązków obywatelskich przeniknęły już całe prawie społeczeństwo i obrona narodowa oparła się na daleko szerszych podstawach.

Oczywiście ewolucyi tej towarzyszyły dość gwałtowne wstrząśnienia wewnętrzne. Warstwy przodujące w



Ks. K. J. Kantak.

narodzie zrzec się nie chciały dobrowolnie dotychczasowej górującej roli, a młode siły zbyt może natarczywie

PORTRETY Z KSIĄŻKI JUBILEUSZOWEJ „DZIENNIKA POZNAŃSKIEGO".



Maksymilian Jackowski.



Józef Kościelski.



Ludwik Straszewicz.



Maryan Gawalewicz.



Aleks. Głowacki.
(Bolesław Prus.)



Teofil Merunowicz.



Kazimierz Morawski.



Zygmunt Celichowski.



Ks. Patron
Piotr Wawrzyniak.



Stefan Krzywoszewski.



Profesor Baranowski.



Marya Mieczkowska.
(Michał Bończa).



Czesław Jankowski.



Erazm Piltz.



K. Laskowski.



Aleksander Kraushar.

PORTRETY Z KSIĄŻKI JUBILEUSZOWEJ „DZIENNIKA POZNAŃSKIEGO".


Ks. Zygmunt Chełmicki.


Roman Komierowski.


Edm. Bogdanowicz.


Bolesław Wicherkiewicz.


Władysław Rabski.

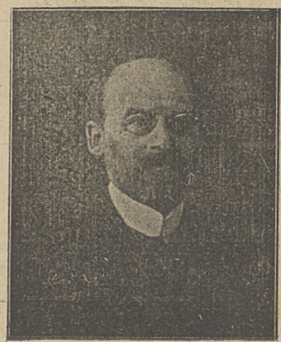

Ludwik Mycielski.


Bronisław Kąsinowski.

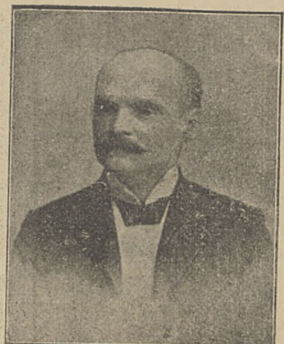

Antoni Donimirski.

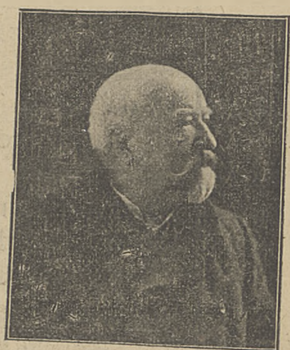

K. Szkaradek Krotoski.


Ignacy Baliński


Władysław Tomaszewski.


Bronisław Dembiński.


Teodor Jeske Choiński.


Benzelstjerna-Engeström.


Ks. Władysław Chotkowski.

pięły się w górę, zbyt bezwzględnie może dążyły do zagarnięcia władzy nad życiem politycznem społeczeństwa.

Walki te wewnętrzne odbiły się, rzecz prosta, i na łamach naszego pisma. Jeśli zaś echo ich było kiedy niekiedy zbyt silne i namiętne, jeżeli nie zawsze z należytą bezstronnością, ocenialiśmy dążenia naszych przeciwników, to tłumaczy nas atmosfera walki, w której i strona przeciwna nie rządziła się nadmierną wyrozumiałością.



Franciszek Morawski.

Walka ta nie ustała i dzisiaj. W normalnem, cywilizowanem, nowoczesnem społeczeństwie istnieć muszą i ścierać się z sobą odmienne prądy, kierunki, zapatrywania i przekonania. Stanowią one przecież do pewnego stopnia oznakę politycznego rozwoju narodu. Chodzi tylko o to, aby wewnętrzne te antagonizmy nie osłabiały i nie utrudniały akcyi społeczeństwa na zewnątrz, aby w danej chwili schodziły na plan drugi wewnętrzne zatargi, a wchodziła w swoje prawa solidarność narodowa, skupiająca pod jednym sztandarem wszystkie warstwy i wszystkie stany.

Społeczeństwo nasze poznało to niebezpieczeństwo. I tem się też tłumaczą energiczne jego i po części wieńczone skutkiem pomyślnym wysiłki w kierunku zapewnienia sobie dobrobytu. Kwestyą jest tylko, czy w tej pogoni za materyalnemi dobrami, zachowaliśmy właściwą miarę, czy to, co powinno być wyłącznie środkiem do celu, w cel się nie zamienia powoli, lecz stale.

Otóż pod tym względem budzą się poważne i uzasadnione obawy. W każdym razie materyalnemu naszemu rozwojowi nie dorównywa ani w części postęp nasz kulturalny. I z prawdziwym smutkiem stwierdzić należy, że Wielkopolska, która pod względem przeciętnej oświaty tak bardzo przewyższą dwie inne nasze dzielnice, tak nikły bierze udział w ogólnym naszym ruchu umysłowym, tak mało produkuje na literackiej i artystycznej niwie.

Nasuwa się teraz pytanie, czy i o ile prasa przyczyniła się do wytworzenia tak niepożądanego położenia. Nie należy przeceniać jej znaczenia, wpływu i potęgi. Dziennik, chociażby najwpływowszy i najpoczytniejszy stanowi jedynie odbicie tych lub owych prądów, przenikających społeczeństwo, nie wytwarza ich jednak, nie wytyka im samowładnie kierunku. Rola jego ogranicza się do przestrzegania, napominania, krytykowania, a w drugim rzędzie i pouczania; jest on raczej doradcą niż kierownikiem.

O tyle też tylko winić można prasę naszą za zastój umysłowy w naszej dzielnicy, o ile nie spełniła należycie swego zadania doradcy, o ile nie wytężała sił wszystkich, aby budzić duszę narodu z uśpienia.

Do pewnego stopnia zadanie, a nawet istotę każdego organu opinii publicznej stanowi walka.

Roczniki „Dziennika“ przepełnione są od pierwszej chwili jego istnienia odgłosami tej walki z zewnętrznym przeciwnikiem. I przeglądając je uważnie, przekonywamy się, że z gruntu błędne jest, chociaż dość rozpowszechnione mniemanie, jakoby antypolska polityka rządu pruskiego była wytworem niedawnej względnie przeszłości, wyłącznem dziełem żelaznego kanclerza. Już przed pół wiekiem rząd pruski dążył świadomie i konsekwentnie do ukrócenia praw naszych, do niemczenia dzielnic, zamieszkanych przez ludność polską. Dążenia te słabły chwilami, to znów przybierały energiczniejsze tempo, nie ustawały jednak nigdy i stanowiły stale punkt ciężkości wewnętrznej polityki pruskiej.

I stwierdzenie tego faktu obala raz na zawsze fikcyę, jakoby eksterminacyjna polityka rządu pruskiego była obroną, albo, jeżeli kto woli, odwetem przeciwko tak zw. radykalizmowi polskiemu. Polityka ta święciła już swoje orgie, gdy o radykalizmie polskim nie było jeszcze mowy, i twierdzić można, nie narażając się na zarzut przesady, że ona to świadomie czy bezwiednie wyhodowała w społeczeństwie naszem prądy, które służą dzisiaj rządzącym kołom pruskim za pozór do wzmocnionego ucisku.

I dzisiaj, w warunkach trudniejszych niż kiedykolwiek przedtem rozpoczynamy nowe półwiecze naszej pracy. Nie upadamy jednak na duchu i nie wkraczamy na arenę z okrzykiem: „morituri te salutant.“ Nie, śmierć nie zagraża nam, dopóki sami nie zwątpimy o sobie. A do zwątpienia nie mamy najmniejszego powodu. Widzimy przecież, jak się z dniem nieomal każdym zwiększają szeregi obrońców twierdzy zagrożonej, jak świadomość narodowa, jak poczucie obowiązków obywatelskich przenika wszystkie warstwy nasze i stany, jak zacierają się, a przynajmniej schodzą na plan drugi wszelkie różnice społeczne i przeciwieństwa wewnętrzne, i góruje wszechwładnie myśl solidarnej obrony narodowej.

Więc praca, do której przystępujemy w nowem półwieczu, nie napełnia nas obawą, lecz otuchą. Nie lekceważymy jej trudności, lecz wierzymy w pomyślne jej wyniki. Wiemy, że społeczeństwo, które przetrwało zwycięsko tyle już ciosów, które zahartowało się w ogniu tak długiego i tak srogiego prześladowania, nie podda się i teraz zwątpieniu i nie da się złamać żadnym przeciwnościom. Wiemy, że niespożyty jest duch takiego narodu.“

* * *

Kończąc tę krótką wzmiankę o książce Jubileuszowej „Dziennika“ nie możemy nie wyrazić obecnej redakcyi uznania i wdzięczności za wszystko, co około podniesienia i rozszerzenia pisma szczególniej w kierunku kulturalnym uczyniła i życzymy jej, by jaknajobfitsze plony z swej pracy zbierała dla dobra całego społeczeństwa naszego.

* * *

Za łaskawem zezwoleniem p. K. Puffkego zamieszczamy jednocześnie z „Książki Jubileuszowej“ trzydzieści sześć portretów zasłużonych mężów oraz publicystów polskich, tak obecnych jak też byłych współpracowników „Dziennika“. Z powodu nierównej wielkości kliszy nie mogliśmy portretów zamieścić w porządku alfabetycznym, tylko musieliśmy zastosować się ze względów technicznych do porządku takiego, w jakim je podaliśmy.

Dr. Kazimierz Krotoski.

Przyczyny upadku Polski.

3

(Ciąg dalszy).

Najwybitniejszem znamieniem życia naszego publicznego było osławione liberum veto. Zgubna więc zasada jednomyślności sprowadziła nasz może upadek? Zasada jednomyślności panująca już u lechickich czy ruskich plemion, chce aby, jak powiada Ditmar (podczas obrad wszyscy co do jednego na jedno się zgodzili) unanimi consilio ad placitum suimet necessaria discutientes in rebus efficiendis omnes concordent.

Jeżeli zdania się rozchodzą silniej-

sza połowa zmusza słabszą do uległości.

U nas, wedle autora Rad Sejmikowych, wykluwa się to złowrogie piskle z zawiązków ustawodawczej władzy sejmików. W instrukcjach otrzymują posłowie pewne ograniczenia, skutkiem których posłowie zobowiązani są odnosić się do braci. Utrwala się zasada z czasem tak, iż sejmiki uważają się w pewnych kwestjach za równorzędne ciała ze sejmem. W końcu osłowione „nie pozwalam“ dochodzi do takiej potęgi, iż poseł na własną odpowiedzialność, bez wyraźnej woli swego województwa, może nawet wbrew instrukcyi posunąć swe veto do zerwania sejmu. A jednak historya liberum veto sprzeciwia się tej genezie podanej przez Pawińskiego.

Pierwsze zerwanie sejmu i użycie liberum veto nastąpiło nie przez Sicińskiego w roku 1652 lecz 1639 przez Jerzego Lubomirskiego, starostę Sandeckiego, posła krakowskiego i to nie na podstawie instrukcyi sejmikowych, lecz z prywatnych motywów. Sejm chce sądzić Jerzego Ossolińskiego, który pogroził kijem Baranowskiemu, posłowi Wiskiemu. Lubomirski ujmuje się za Ossolińskim i, aby nie dopuścić do sądu, zrywa sejm. Tak samo w roku 1652 zerwał sejm właściwie Magdaleński, dla tego, iż król dał starostwo przemyskie nie jemu, lecz hetmanowi Kalinowskiemu. Charakterem fatalnego pierwiastka wprowadzonego tą drogą do naszego politycznego organizmu nie jest zaściankowy partykularyzm i separatyzm prowincyonalny, lecz po prostu indywidualna samowola. Nie ma przykładu, aby gremialna protestacya wszystkich posłów danego województwa odniosła ten sam skutek, co pojedyńczy głos wszystkich Sicińskich od 1652 r. do 1764 r.

Jeżeli liberum veto opiera się w teoryi na wyidealizowanem równouprawnieniu jednostki wobec masy, tedy w praktyce protestacya jednego posła wobec większości rzeczywistej, świadomej celów i uorganizowanej przebrzmiała bez znaczenia, ale takiej większości brakuje od drugiej połowy 17 wieku. Gdy taka większość istnieje liberum veto, najformalniej wniesione, jak 1703 i 1726 r., nie odnosi skutku.

Liberum veto jest narzędziem jednem z tysiąca, których dostarczyć może wszędzie litera prawa przeciw duchowi prawa, którym się posługiwać może tylko swawola, nie spotykająca się z oporem silnej woli. Użycie tego pierwiastku negacyjnego w naszym organizmie nie jest przyczyną, lecz skutkiem i dowodem osłabienia tego organizmu.

Jest zdanie również częste, że brak władzy królewskiej, owa elekcya królów zgubiła kraj. Inne kraje miały absolutnych władzców despotów; tacy byli potrzebni, by utrzymać szlachtę w karbach. Czy tak jest, zobaczym.

Najpierw państwo polskie na zupełnie innych rozwinęło się podstawach, niż państwa zachodnie. Na zachodzie t. zw. feodalizm, głęboko wkorzeniony w umysł ludu, kazał w monarsze upatrywać namiestnika Bożego, zatem król we warstwach niższych, u ludu i mieszczaństwa, znajdował zawsze sprzymierzeńców przeciw roszczeniom arystokracyi; z pomocą przedewszystkiem mieszczaństwa złamali wpływ szlachty np. królowie francuscy. U nas w Polsce feodalizmu nie było; monarcha pierwotny — to właściciel kraju, jak każdy inny właściciel gruntu. Władza ta księcia w 13 w. np. ograniczoną była bardzo przywilejami magnatów i duchowieństwa. Dopiero Kazimierz W. skupił tę władzę w silnem ręku. Fatalność chciała, albo rozwięzłość króla, że na nim wygasa kujawska linia Piastów. Ustępstwami na rzecz szlachty dostaje się na tron Ludwik Węgier; ten znowu nie ma syna, tylko córki, znowu ustępstwa z uszczerbkiem władzy rządowej. Tak się dostaje tron Jadwidze, a z ręką jej Jagielle, który dopiero w późnym wieku otrzymał potomstwo, zatem naród nie mógł się przyzwyczaić do syna królewskiego, jako następcy tronu. Kazimierz Jagiellończyk znowu za wielu ma synów, tak iż nie wiedziano, który ma być królem, przyczem król nieoględnie sam najstarszego syna z kraju do Czech wysyła. Zygmunt Stary wprawdzie syna swego za życia następcą obrać każe, lecz ten syn Zygmunt August to ostatni z domu Jagiellonów.

Zatem elekcya konieczna, a z nią droga otwarta do zamieszek, waśni, przekupstwa i mieszania się obcych do spraw wewnętrznych, jakie stąd płyną. Dostał się na tron Stefan Batory, ten genialny prawdziwie polityk i władzca. On miał siłę i sposobność po temu, by przeobrazić Polskę w państwo pierwszorzędne. Nieszczęście chciało, że umiera w połowie dzieła, umiera bezdzietnie. Przychodzą Wazowie na tron w osobie Zygmunta I., tej najsmutniejszej postaci w naszej historyi. W życiu prywatnem wzorowy, w publicznem najgorszy król, jaki mógł być dla Polski. Fanatyk religijny, przytem uparty w swych planach, dążył do przeprowadzenia ich, choćby ze zgubą dla kraju, który go za pana swego uznał. Skatolicyzowanie Szwecyi, to jego marzenie, dla niego chciał poświęcić Polskę. On pierwszy zrobił plan rozbioru Polski, dzieląc ją między Austryę i Szwecyę, którą zamierzał dla siebie i dla Kościoła pozyskać. Ta jego polityka nieszczęsna doprowadziła, że odtąd nierząd w Polsce za prawny uznany został, że dążenie do wprowadzenia ładu i porządku tylko na drodze rewolucyi mogły przyjść do skutku. Więc Zygmunt III. sprowadził upadek Polski? przyczynił się do tego — zgoda; lecz zgubić naród silny i zdrowy choćby najprzewrotniejszy monarcha nie jest zdolny. Musiał być chorym ten naród, którego stan wewnętrzny mógł królowi nasunąć plany, wychodzące na zgubę narodu, a mimo to obierają Polacy jego syna na króla. Widać ztąd najlepiej, że nie byli przeciwni zasadzie dziedziczności, tej zasadzie, która jedynie jednolitą, ciągłą i skuteczną politykę umożliwia, która zespala lud z tronem, każąc mu w nim upatrywać wcielenie wyrazu ojczyzny. A jednak, dla czego nie przyszło do ustalenia się dynastyi i dla czego nasz lud nie miał się do kogo przywiązać, dla czego nieprzystępny dla idei ojczyzny pozostaje bierny wobec rozbiorów w przeciwieństwie do ludu niemieckiego, który za króla i ojczyznę rwie się do broni i zrywa pęta Napoleońskie? Synowie Zygmunta umierają bez potomstwa, rozterka w rodzinie wiedeńskiego bohatera wyklucza jego potomstwo od tronu, później Europa przemocą narzuca nam swoich Sasów i Poniatowskich. Zresztą, czy elekcyjność nie istniała gdzieindziej? Elekcyjnym monarchą był w gruncie rzeczy francuski Henryk IV. Wilhelm Orański, a nawet Anna carowa. W Rosyi jednak carowa podarła w drugim miesiącu wymuszony na niej na formalnych paktach oparty dyplomat. U nas najtężsi królowie nie robili zamachów na konstytucyę. Nie posiadali zapewne władzy dostatecznej, albowiem jak powiada Jan Kazimierz w swych powodach do ustąpienia z tronu: jura regia, nullo titulo, nullo robore królowi odebrała i nulla auctoritate in populum przeniosła; pozostały mu tylko dwie prerogatywy, na które się szlachta targa: tj. najwyższa władza sądownicza i władza rozdzielania urzędów; zresztą praeter titulum vanum et nomen inane nic królowi nie pozostało. Niewątpliwie prawdziwe to są słowa ustępującego z tronu króla, jednak czy królowie angielscy z dynastyi Welfickiej większe posiadali prawa? czy posiadali takie atrybucye, jak rozdzielanie urzędów, jak bezwzględne veto przeciw ustawom parlamentu? I brak władzy królewskiej zatem nie jest przyczyną upadku, lecz znowu wyrazem rozstroju ducha w narodzie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Na widowni.

Ponure chmury, które się od miesięcy całych na horyzoncie politycznym zebrały zdawały się ostatnio ustępować nieco. Zewsząd nadchodziły wiadomości pomyślniejsze.

W mowie tronowej, w której król Edward VII. odroczył obrady angielskiego parlamentu, zaznaczono, że są nadzieje nie tylko zachowania pokoju europejskiego, lecz nawet wzmocnienia jego podwalin. Przedewszystkiem zdawało się, jakoby najważniejsze trudności w sprawie bałkańskiej usunięte były. Austrya bowiem zamierzała się porozumieć z Rosyą w sprawie konferencyi bałkańskiej w tym sensie, że proponowała zwołanie konferencyi dopiero po poprzedniem porozumieniu się co do aneksyi Bośni i Hercegowiny w bezpośrednich miedzypaństwowych pertraktacyach. Tymczasem odpowiedź rosyjska na tę propozycye brzmi dość niepomyślnie. Rząd rosyjski przyjmuje bowiem projekt austryacki z pewnemi restrykcyami, nie chcąc sobie widocznie popsuć przyjaznych stosunków z mocarstwami, które przez cały czas trwania zawieruchy bałkańskiej po niej się energicznych spodziewają czynów. Również nie zbyt pocieszające wrażenie sprawia sposób, w jaki rząd bułgarski odpowiedział na mowę tronową sułtana, mianą przy otwarciu tureckiego parlamentu. Przy tej sposobności nie od rzeczy będzie nadmienić, że sułtan nie złożył przysięgi na konstytucyę, który to incydent wywarł przykre wrażenie u wolnościowo usposobionych żywiołów w Turcyi, obawiających się wciąż jeszcze reakcyjnych zamysłów starotureckiej partyi i sułtana.

Sprawa marokańska, która jeszcze przed rokiem bardzo złośliwy miała wygląd, obecnie rozwija się pomyślnie. Co do najważniejszych punktów spornych panuje powszechne porozumienie. Jakoweś nieprzewidziane zajścia będzie można bez znaczniejszych trudności załatwić. Jest nadzieja, że nowy uznany przez mocarstwa sułtan zdoła zapewnić krajowi ład i pokój i zapobiedz przez to skutecznie mieszaniu się mocarstw obcych do wewnętrznych spraw marokańskich.

Także w Ameryce wygładzają się przeciwieństwa. W sporach brazylijsko - argentyńskich dyplomacya Stanów Zjednoczonych szczęśliwie intermedyuje, w Haiti zaś nastąpił po wypędzeniu prezydenta spokój zupełny. Konflikt pomiędzy Wenezuelą a Niderlandami ostatecznie pokojowo załatwiono. Prezydent Castro, zwolennicy którego planowali zgładzić ze świata zastępującego go wiceprezydenta, został złożony z urzędu, poczem powołano nowe ministerstwo, które natychmiast rozpoczeło układy z Niderlandami, co spowodowało zaprzestanie dalszych z ich strony kroków nieprzyjacielskich. (Patrz „Z bieżącej chwili.").

Z niemieckiej południowo - zachodniej Afryki znowu nadchodzą wiadomości o ruchach krajowców. Wykonali oni szereg napadów na kolonistów tamecznych, a nawet na oddziały wojskowe. Wojsko kolonialne ma rozkaz ukarać winowajców. Są to pomniejsze bandy, z któremi Niemcy spodziewają się załatwić szybko.

W Berlinie uwydatnia sie pewna nerwowość z powodu mającej nastąpić oficyalnej wizyty króla Edwarda w Berlinie, zapowiedzianej przezeń w Cronbergu na początek roku 1909-go. Dobrze informowane gazety wiedeńskie wszakże donoszą, że król Edward do Berlina nie pojedzie i to ze względu na panujące stosunki w stolicy niemieckiej. Ze strony prasy niemieckiej tej wiadomości zaprzeczono.

Jakkolwiek uwydatnia się pewne polepszenie stosunków politycznych w świecie, to jednak nie nastąpiło zupełne rozchmurzenie horyzontu politycznego. Dyplomacya europejska także w nowym roku będzie musiała pracować z całem wytężeniem, jeżeli pokój europejski ma nie ponieść szwanku, o co zewsząd dopominają się najenergiczniej nie tylko rządy poszczególnych mocarstw, lecz ludy, które w rozlewie krwi żadnego nie mają interesu.

Ojciec św. niedomaga na zdrowiu. Wskutek ogromu prac, które mimo to załatwia, zdarzają się często omdlenia. Sen nieraz niespokojny.

Straszne trzęsienie ziemi nawiedziło dnia 29-go grudnia wschodnie wybrzeże Sycylii i południowo-zachodnią część półwyspu apenińskiego, szczególnie prowincyę Kalabryę. Miasto Mesyna i inne miasta i miasteczka leżą po części w gruzach. Liczba ofiar w ludziach jest wielka. Prezes ministrów włoskich Giolitti wyznaczył na ofiary katastrofy żywiołowej 20,000 lirów.

Nowe Specula Pio Vaticana.

Nowe obserwatoryum astronomiczne w Watykanie, do którego Ojciec św. powołał jak wiadomo ojca Hagena T. J. z Ameryki, jest obecnie na wewnątrz zupełnie ukończone. Nawet i most żelazny, łączący po nad staremi murami Leoniny nowe obserwatoryum z starem, dziełem Leona XIII., jest gotowy.

List polecający dyrektora obserwatoryum w Greenwich otworzył mi i memu towarzyszowi bramy astronomicznej świątyni na starej, tysiącletniej wieży, nad którą unosi się teraz modna, ołowiana kopuła sali obserwacyjnej. Na samym wstępie zwraca na siebie uwagę zwiedzającego, olbrzymi teleskop, największy, jaki dotąd istnieje i przewyższający pod względem wielkości i dokładności teleskopy Licka i Yerkesa. Soczewkę sprowadzono z Ameryki — a jest ona tak grubą i tak ogromna, że drugiej takiej nie ma na całym świecie. Nowy reflektor o zwierciadle na dwie stopy wielkiem, przewyższa reflektor Yerkesa z obserwatoryum amerykańskiego. Myśl O. Hagena, aby soczewka nie była szlifowaną conwex, tylko miała skoncentrowane linie faliste, stanowi epokę w całej astronomii, gdyż fale światła stawają się równocześnie falami dźwięków.

Harmonia sfer nie jest teraz już baśnią. Chociaż nasz zmysł słuchu nie jest tak rozwinietym, jak oko, to w przyszłości jednak i ucho otrzyma część swoja przy studyach astronomicznych i przy ich rezultatach. Można sobie wyobrazić, z jaką duma i radościa O. Hagen ogłasza w „Astronomia Vaticana" wyniki swoich spostrzeżeń: są one rzeczywiście tak nadzwyczaine, że to, co orzekli Vadsnorth, Ritcheij i inni pierwszorzędni astronomi, nie ma wobec tego żadnego prawie znaczenia. Jako zupełnie pewne rezultaty możemy uważać następujące punkta:

1. Na Marsie istnieją rzeczywiście żywe istoty, ale wielkości i kształtu takiego, że na ziemi nie ma im nic równego. To samo odnosi się do ich warunków życia.

2. Venus znajduje się jeszcze w stanie tak ognisto-płynnym, że rozpryskuje się ciągle. Kawały spadające z niej przebiegają przestworza jako meteory.

3. Spadające gwiazdy należą do odrębnego systemu słonecznego, którego środek jednak tak już wyziąbł i stał się ciemnym, że go już widzieć nie możemy, i tylko przez obliczenie jego planet wiemy, gdzie się znajduje. To odkrycie wyjaśnia mnóstwo zagadek, nad których rozwiązaniem daremnie się astrolodzy dotąd męczyli.

4. Dla rozpoznania różnicy pomiędzy rzeczywistem a pozornem miejscem gwiazd stałych, uczyniono ciekawe i zajmujące odkrycia za pomocą łamanych promieni. To samo odnosi się do albedo (siła światła) astewidów (mniejsze planety).

Ojciec Hagen zaprosił nas na nocną obserwacyą księżyca, stojącego właśnie w pierwszej kwadrze, a więc w najkorzystniejszej do badania, pozycyi. Pracowałem przeszłego roku dwa miesiące w obserwatoryum Yerkesa nad badaniem księżyca i myślałem, że znam go doskonale — ale jakże się zdziwiłem, gdy zobaczyłem tam dużo nowych rzeczy, o których dotąd jeszcze nie wiedziałem. Podaję je tutaj w krótkości:

1. Księżyc jest otoczony niezmiernie delikatnym pokładem powietrza i pary. Ojciec Hagen nazywa to aetheroidem.

2. Za pomocą odbicia potężnego podwójnego lustra można teraz poznać i tę część księżyca, która jest od ziemi odwróconą. Znajdujące się na niej formacye wyżyn i nizin, cienie i światła nie wiele różnią się od tych, jakie widzimy na naszej stronie. Tylko tam rozciąga się długa, ogromna płaszczyzna, której wijące się na powierzchni poruszenia, jeszcze dotąd są nam zagadką dla tego, że podług dotychczasowych spostrzeżeń, nie ma na księżycu wody. Że jednak znajdują się tam żywe istoty, wprawdzie inne, niż u nas, na ziemi, o tem przekonałem się na własne oczy przez teleskop Ojca Hagena. I nietylko oczy moje widziały poruszające się istoty — tu pojedyńczo — tam w większej ilości. Ponieważ, jak już mówiłem, jest soczewka tego teleskopu nie conwex tylko w skoncentrowanych szlifowaną liniach, przez co fale światła stawają się równocześnie falami dźwięku, przeto potrzeba było tylko jeszcze działania elektryczności na soczewkę, aby ją zamienić w elektryczny telefon, który nam udzielał nietylko fal światła, ale i fal dźwięków.

I gdy oczy nasze dosyć już długo patrzały przez teleskop mianowicie na brzeg tarczy księżycowej, gdzie mogliśmy z całą pewnością stwierdzić żywe, prędkie poruszenia, musiałem na życzenie O. Hagena przyłożyć ucho do teleskopu, przyczem osobno zbudowany telefoniczny aparat zaostrza niezmiernie siłę ludzkiego słuchu. Z początku słyszałem jakiś niewyraźny szmer, zwolna jednak zaczęły się układać wyraźniejsze dźwięki. Wytężyłem cały mój umysł i słuchałem: tony stawały się zrozumialsze, jaśniejsze, interwale ostrzejsze, i jak światło słońca wydobywa się zwycięzko z poza chmur i mgły, tak i tu wydobywały się harmonie i tony — już to słabsze, już to mocniejsze i — nie myliłem się — w końcu usłyszałem jak gdyby z nieskończonego oddalenia, a jednak czystą i wyraźną symfonią Beethowena.

Można sobie wyobrazić, że Ojciec św. zajmuje się bardzo żywo astronomicznemi badaniami ojca Hagena, który stanął tak wysoko po nad swym Bratem zakonnym, tak zwanym „wielkim“ Secchi. Jak często chodził już Pius X. okryty długim, ciemnym płaszczem, w nocy do ojca Hagena, pracującego przy teleskopie, i dzielił z nim spostrzeżenia i badania. Jak się korzył przed nieskończoną wielkością i potęgą Stwórcy!

Przed kilku miesiącami oddał ojcu Hagenowi do dyspozycyi całą willę, którą Leon XIII. kazał sobie jako letnie mieszkanie dobudować do owej starej wieży, pomimo, że tym sposobem odmówił sam sobie przyjemności mieszkania i odpoczywania w niej w czasie latowych upałów. Dla interesu astronomii poświęcił nawet piękność papiezkich ogrodów kazał bowiem wybudować most, łączący stare i nowe obserwatoryum.

Wezyrowie, Mollahowie i lud w Persyi.

Za granicą nie cieszą się Persowie zbyt dobrą opinią. Pomimo, że są potomkami narodu posiadającego niegdyś najwyższą kulturę i wywierającego siłą swej potęgi wpływ na sąsiednie ludy aż do głębi Indyi, dziś bywają Persowie wielokrotnie uznawani za barbarzyńców i nie wyżej stawiani, od Marokańczyków. Rozmaite warunki składają się na to: niesłychane okrucieństwo średniowiecznych sądów z torturami i t. d., przekupstwo i systematyczne okradanie, wykonywane przez urzędników, brak wszelkich środków komunikacyjnych, niepewność w całym kraju, bunty przeciwko szachowi i jego ministrom i upadek wspaniałych moszei i dzieł sztuki z staroperskich czasów. Sam język perski najlepszym jest przykładem upadku — Persowie bowiem nie mają nawet słowa na „dziękuję.“

Ale mieszkańcy Iranu mają też i dobre przymioty, mianowicie wielką uprzejmość i uprzedzającą grzeczność w obcowaniu nawet z tymi ludźmi, którymi pogardzają, naprzykład z chrześcijanami. Życzę im, aby ich djabli wzięli, lecz nie okazuję im tego wcale. Skazanym na śmierć dawają bezpośrednio przed ścięciem głowy fajkę — jako ostatnią ziemską przyjemność. Jeżeli nie mają słowa „dziękuję,“ to mówią jednak: „lust — i — schuma — znad,“ co znaczy „niech dobroć twoja rośnie,“ albo: „zell schuma kam nacharad,“ to jest: „oby cień twój nigdy nie zmalał.“ Gdy przysięgają, to zarzekają się zawsze albo na sól, albo na drogie życie tego, któremu przysięgę składają, i mówią: „umrzyj, jeżeli skłamałem.“ Jest to na pozór bardzo egoistycznie, ale w rzeczywistości ma oznaczać, że życie osoby drugiej ma o wiele więcej wartości, niż ich własne. Sprawdzać tego przecież nie chciałbym — Persowie bowiem znani są, jako najwięksi w świecie kłamcy. Poczucia prawdy zdają się nie mieć wcale, i gdy Pers jaki zostaje schwytanym na kłamstwie, tłumaczy się tem, że „lepsze przyjemne kłamstwo, niż nieprzyjemna prawda.“ Kłamstwo jest u nich dowodem wielkiej kultury, zamiłowanie prawdy zaś u Europejczyka jest brakiem dobrego wychowania. Nawet „król nad królami“ bezwzględny władzca i pan, rozporządzający samowładnie majątkiem i życiem swoich poddanych, posługuje się w swoich gwałtownych rozporządzeniach wielką uprzejmością. Najznakomitszy obecnie mąż stanu w Persyi, Amin-es-Sułtan, Wielki Wezyr zmarłego niedawno szacha Muzaffered-dina, urządził przed trzema mniej więcej laty, wielką uroczystość, na której byli obecnymi ministrowie, urzędnicy dworu i całe koło dyplomatyczne. Wśród najlepszej zabawy, wśród śpiewów i tańca, przybył kuryer „króla nad królami“ i wręczył sułtanowi Aminowi pismo, zaczynające się następującemi słowami:

„Jego cesarska mość wyraża wdzięczność człowiekowi, który mu przy rozpoczęciu jego panowania stał przy boku i rządził krajem bardzo sprawiedliwie. Ale zajęcia te przechodzą zapewne jego siły, i potrzeba mu cokolwiek wypoczynku.

Dla tego ma opuścić Teheran i odpocząć na wsi.“

Wielki Wezyr wiedział bardzo dobrze, co uprzejmość ta znaczy. Nosił on za pasem kaszmirowego kaftana, haftowanego prawdziwemi perłami, oznakę swej godności, pióro złote, kamieniami wysadzane i kałamarzyk. Nazywa się to calandan. Każdy Mirza, to jest umiejący pisać, czy człowiek prywatny, czy urzędnik, nosi przy sobie calandan. Wszystkie te przybory do pisania składają się z tuszy czarnej, zastępującej atrament, trzonka trzcinowego i kilku ćwiartek papieru. Amin odesłał swój calandan szachowi przez jego posłańca, wyjął urzędową pieczęć z kieszeni i złamał ją w obecności swych gości, którzy zdumieni pytali go, dla czego to czyni. Ale tylko dwaj wyżej wymienieni dostojnicy zrozumieli wszystko. Zaraz potem znikł Amin nietylko z Teheranu, ale i z Persyi i dopóki nie przekroczył granic swej ojczyzny, nie jadł i nie pił nic, czego sam sobie nie przygotował.

Wezyrowie, ministrowie i ludzie majętni urządzają często zabawy z tańcami i grą hazardową i przyjmują u siebie Jego Cesarską Mość „Cień Allaha.“ Chodzi tylko o to, ile za ten zaszczyt chcą zapłacić. Szach odwiedza regularnie raz w rok Wielkiego Wezyra, i to w dniu jego urodzin, a podarunek, jaki Wezyr daje za to szachowi, kosztuje, stosownie do jego majątku, dwadzieścia do pięćdziesięciu tysięcy marek. Orszak „króla nad królami“ zabiera przytem wszystko z pałacu Wezyra, co nie jest mocno przybite. Wezyr zawczasu każe drogie przedmioty zastąpić taniemi, i dopiero po odejściu szacha wraca wszystko znowu do dawniejszego porządku. Lecz Wezyr postępuje tak samo wobec gubernatorów, a ci wyzyskują lud jak mogą.

Persowie lubią się bawić, lubią muzykę, grę w karty i szachy — których ojczyzną jest rzeczywiście Persya. Ubierają się bogato, strojnie i przepędzają chętnie kilka godzin po południu w kawiarniach. Namiętnie palą fajki, chociaż w ostatnich czasach weszły papierosy w modę — tylko wobec ojca nie odważyłby się palić żaden Pers. Miłość i szacunek dla rodziców są ich charakterystycznemi przymiotami — każdy Pers jest sługą swego ojca i nie śmie nawet usiąść w jego obecności. Cenią także bardzo wysoko poezyą, kobiety i piękną naturę. Kto jaki taki posiada majątek, kupuje sobie za miastem lub u podnóża gór Elbrusa ogród, albo zakłada go na świeżo nabytej ziemi. Największą przyjemnością Persów jest spędzanie popołudniowych godzin i nocy księżycowych w ogrodzie. Młodzież wyjeżdża często konno w nocy. Wszyscy Persowie są wielkimi lubownikami koni i doskonałymi jeźdzcami, pod tym względem nie ustępują wcale Arabom. Mają też dosyć na to czasu — naszego pospiechu w pracy nie znają wcale. Trzeba im się tylko przypatrzeć w bazarach w Teheranie. Targują się godzinę o kawałek melona i jeżeli utargowali pół fenyga, zdaje im się, że wyzyskali czas należycie.

Persowie wstawają bardzo wcześnie. Jak w wszystkich mahometańskich krajach, tak i tu budzi ich muezzin rano i wzywa do modlitwy. Ubieranie ich nie trwa długo — zarzucają tylko wierzchnie ubranie na bieliznę, składającą się z krótkiego kaftana i spodni, a których nie zdejmują ani we dnie ani w nocy i wszystko gotowe. Staroperski, malowniczy strój, to jest długie kaftany z najcieńszego kaszmiru, jedwabiu lub aksamitu, noszą niestety już tylko Mollahowie — mahometańscy kapłani, i Mirzowie — umiejący pisać, lecz i tu pojawia się już często strój nowoperski, a „eleganci“ noszą już europejskie pończochy i trzewiki. Na spodnie wdziewa Pers obcisłą suknią z różnobarwnego perkaliku, sięgającą mu aż do kolan, „alkaluk“ zwaną, na to zaś taką samą czarną, bardzo fałdzistą. Tylko przykrycie głowy zostało zawsze równe. Na małą czapeczkę, której i w nocy nie zdejmuje, kładzie we dnie donicę z czarnych baranków. Na ulicy uzupełniany bywa strój ten „abbą,“ to jest kwadratowym kawałem materyi, zaopatrzonym w trzy dziury — jedna dla głowy, dwie drugie dla ramion. W południowej Persyi są takie abby zwykle niebieskie jedwabne obszywane złotym lub srebrnym paskiem. Turbany noszą teraz tam tylko Mollahowie i Seyidowie, t. j. potomkowie Mahometa. Seyidowie mają kolor biały, Mollahowie niebieski i zielony. Oprócz tego wolno turban nosić tylko tym, którym szach na to pozwala i to jako odznaczenie przy oficyalnych uroczystościach.

Po ukończeniu toalety zaczyna się Pers dopiero myć, podług przepisu Koranu i odmawia modlitwy. Na śniadanie piją tu herbatę, tak jak w Marokko, a potem, wypaliwszy fajkę „kalyan,“ zabiera się Pers do pracy. Pomiędzy 11-tą a 12-tą zjada „nahar,“ czyli obiad, składający się zwykle z pilafu i czilafu, to jest z mięsa, ryżu i jarzyn, masła, sosu i korzeni — jako deser są owoce i sorbety, czyli szerbet.

Po wypoczynku pracuje od 2-giej lub 3-ciej dalej. Biedni ludzie nie mają naturalnie tak obfitych obiadów, jedzą zwykle tylko chleb, pieczony w płaskich kawałkach, i ser, zawijany w liście mięty. Pomiędzy 4-tą i 5-tą kończy się wszelka praca, i resztę dnia spędza Pers na wizytach, w kawiarniach, albo idzie do łazienki. Persowie lubią się namiętnie kąpać i każda, chociażby najmniejsza wieś ma swoją „hammam,“ to jest, łazienkę. Oprócz meczetu jest hammam najwięcej uczęszczanym budynkiem. Kąpiele należą do wyznania mahometańskiego, prorok kazał się kąpać, jak najczęściej. W Teheranie należą łazienki do najpiękniejszych gmachów miasta, i osoby lepszego towarzystwa przebywają tam godzinami, rozmawiając, pijąc herbatę i paląc kalyan. Herbatę piją Persowie kilkanaście razy dziennie przy każdej sposobności, nie z filiżanek lub szklanek, tak jak my, tylko z małych szklaneczek i mieszają ją z sokiem cytrynowym. Cukier biorą w usta, zamiast kłaść go w herbatę.

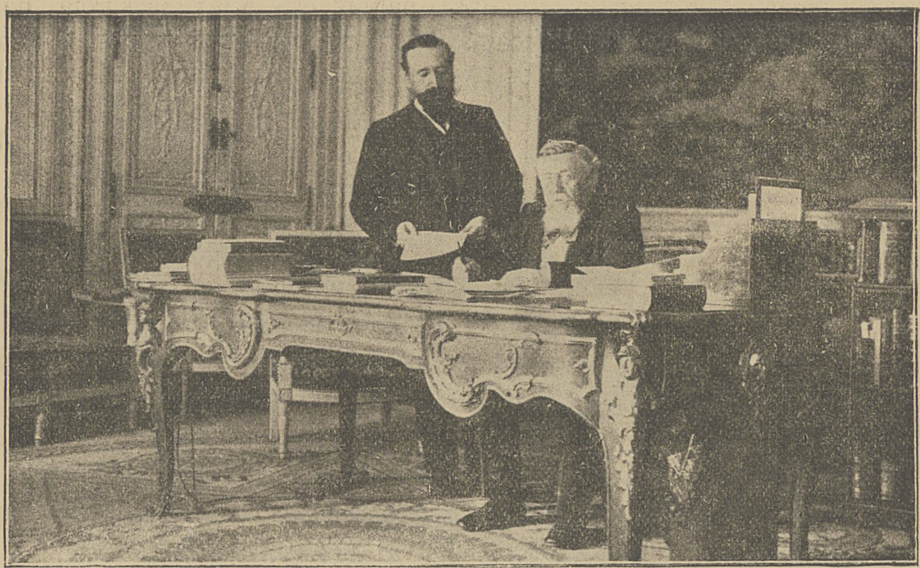
Kąpiel „turecka,“ jest to kąpiel parowa, po której następuje rodzaj masowania ciała. W kąpieli widać dopiero, że Persowie mają gładko ogolone głowy, z wyjątkiem dwóch loków ponad uszami. Loki te są zaczesane do tyłu i zakręcone do góry — podług przepisu koranu wciągną anieli do nieba wszystkich tych, którzy na to zasługują, za pomocą owych loków. Kto więc loków nie ma, do nieba nie wejdzie.

Po kąpieli odbywa się farbowanie brody. Jest to bardzo zajmujące zajęcie. Już niejednemu zwiedzającemu Persyą podpadało, że starzy Persowie, w mieście i na wsi, nie mają białej brody, tylko rudą, lecz dopiero na jeden lub dwa centymetry od korzenia włosów. Każdy Pers daje sobie farbować brodę, albo farbuje ją sam. Służący w łazience bierze garść proszku „henna,“ naparza go gorącą wodą i miesza ręką dopóty, dopóki nie utworzy się gęsta zupa, podobna do zupy z grochu. Potem naciera nią brodę, kładzie na nią kawałek papieru i owija chustką na dwie lub trzy godziny Przez ten czas farbuje sobie paznogcie na czerwono, albo bawi się rozmową z innymi. Że jednak takie farbowanie brody nie często się odbywa, przeto zostawają włosy po nad korzeniami białe, co naturalnie dziwnie wygląda.

(Dokończenie nastąpi).

Z bieżącej chwili.

Napad na prezydenta Rzeczypospolitej francuskiej.



Prezydent Fallieres w swej pracowni.

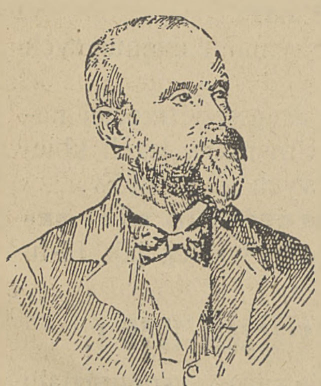
Podczas przechadzki prezydenta Francyi, Fallieresa, w pierwsze święto Bożego Narodzenia, którą odbył w towarzystwie pana Ramondon, napadł nań niejakiś kelner, zwiący się Mathis, który prezydenta chwycił za brodę i tarmosił z całej siły. Napastnika, liczącego lat 31, niebawem obezwładniono i aresztowano

Znaleziono przy nim papiery świadczące, że należy do związku rojalistycznego, chcącego mieć we Francyi króla. Z tego powodu na owe stronnictwo polityczne powstało oburzenie a w izbie poselskiej poseł Mennier wniósł w te sprawie interpelacyę.

* * *

Zamęt w Wenezueli.

Prezydent republiki wenezuelskiej, Castro, przybył do Europy, a zabawiwszy trzy dni we Francyi, przyjechał do Berlina rzekomo dla tego, aby się poradzić sławnego doktora co do swojego zdrowia. Castro jest człowiekiem bardzo bezwzględnym i energicznym. Te dwie właściwości uczyniły go prezydentem Wenezueli. Na tym urzędzie niewielkiej republiki Castro dokazywał, co mu się podobało. Łamał układy z rozmaitemi państwami, z Anglią, Niemcami, Francyą, Holandyą. A choć okręty tych państw przybywały do Wenezueli, Castro się nie bał, lecz postępował, jak uznał za stosowne. Słowem rządził się, jak udzielny monarcha, którego na świecie nic nie obchodzi, jak jego własne dobro.

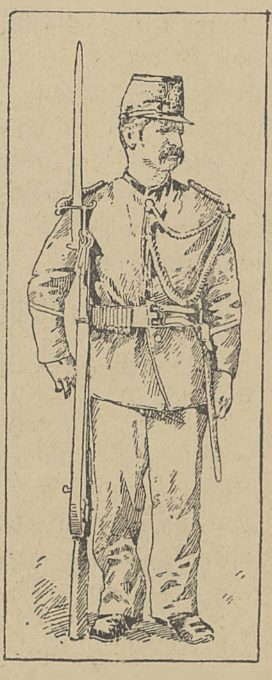


Prezydent republiki wenezuelskiej, Castro.

Niektórzy sądzą, że prezydent nie dla leczenia się, lecz dla tego wyjechał, bo sadzi, że jego panowanie w Wenezueli się kończy. On temu jednak zaprzecza.

W każdym razie niezwykłym człowiekiem jest ten prezydent.

Gdy prezydent Castro w Berlinie się leczy, w republice jego tymczasem lud się burzy przeciwko prezydentowi. W stolicy Caracas przyszło do rozruchów i to dla tego, ponieważ za zaczepne kroki Holandyi przeciw Wenezueli rozmaici czynią prezydenta odpowiedzialnym. Potłuczono jego posągi, zniszczono obrazy po restauracyach, zburzono drukarnię gazety prezydenta. Rząd zaprowadził skutkiem tego stan oblężenia nad stolicą Wenezueli.



Żołnierz wenezuelski.

Z teatru.

Ruchliwa dyrekcya teatru naszego zaprosiła na szereg gościnnych występów p. Hayka, tenora opery lwowskiej.

Podczas tygodnia świątecznego mieliśmy kilka przedstawień Halki z panią Floriani w tytułowej roli i z p. Haykiem w partyi Jontka. Artysta posiada bardzo sympatyczny, dobrze postawiony głos o skali nie zbyt rozległej, lecz silny i metaliczny. Artysta jest przytem dobrym aktorem, wskutek czego postać Jontka pod każdym względem poważnie się prezentowała. Również należy podnieść z uznaniem wyraźną dykcyę, zaletę u śpiewaka niemałą.

Pani Floriani — jak zawsze — tak i tym razem czarowała grą i śpiewem publiczność.

W tych dniach mieliśmy sposobność słyszeć szanowną artystkę w domu prywatnym. Śpiewała z wielkiem mistrzostwem kilka wielkich koloraturowych aryj włoskich. Przygodny ten występ przekonał nas, że, jakkolwiek artystka w dramatycznych partyach jest znakomita, to jednak dopiero w partyach koloraturowych uwydatnia się jej niepospolity artyzm w całym blasku. Ponieważ do egoistów nie należymy, pragnęlibyśmy, by wszyscy miłośnicy muzyki doznali takiej uczty muzycznej, dlatego zwracamy się do szanownej dyrekcyi teatru z uprzejmem zapytaniem, czyby się nie zdecydowała na powiększenie swego repertuaru operowego, choćby jedną tylko operą włoską.

Sądzimy, że np Traviatę możnaby na naszej scenie dać bez obaw fiaska. A właśnie w tej operze znalazłaby p. Floriani wdzięczne pole uwydatnienia swych wielkich zasobów głosowych i pierwszorzędnej techniki śpiewaczej.

R.

NASZE RYCINY.

Herb Polski.

Z powodu dołączenia do dzisiejszego numeru albumowego obrazu kolorowanego, przedstawiającego „Herb Polski,“ kreślimy poniżej słów kilka o herbach.

Herb, znak czyli godło, używane naprzód na zbroi t. j. na tarczy lub hełmie. Znaki te stały się później godłami rycerskich rodów i przechodziły dziedzicznie z ojca na synów. Każdy ród miał swój znak, swój herb, który przez króla był uznany lub nadany. W starożytności herbów nie było, dopiero w wiekach średnich, zwłaszcza podczas wojen krzyżowych, z końcem XI. a z początkiem XII. wieku nastają herby. Na turniejach (zabawach rycerskich) każdy rycerz nosił na tarczy swój herb. Od XIII. do XV. wieku powstają we wszystkich krajach, a także w Polsce herby jako znaki pieczętne rodzin. Przedtem rody polskie miały znaki na chorągwiach oddziałów swoich a nadto zawołania (t. j. hasło, którem się zwoływali na wojnie członkowie rodu). Jako znaki herbowe służyły albo linie, dzielące w różny sposób tarczę (były to herby t. zw. heroldowe, najdawniejsze); albo figury z przyrody: zwierzęta n. p. lew, pies, koń (często zmyślone n. p. gryf) rośliny, księżyc, słońce albo wreszcie rzeczy wyrobu ludzkiego (n. p. brama, most, trąba, topór, podkowa i t. d.). Nad tarczą herbową dodawano później hełm, który również ozdabiano figurami czyli t. zw. klejnotem (rogi, skrzydła, pióra, ludzie, zwierzęta i t. p.). Kładziono też na herbach czasami krótkie zdania, t. zw. dewizy. Państwa, miasta, gminy, stowarzyszenia przybierały sobie z czasem herby.

Herb Polski tworzyła pierwotnie tarcza, podzielona na cztery pola: na dwóch był orzeł srebrny, na dwóch zaś rycerz na koniu (pogoń litewska) także srebrny.

Herbem Warszawy jest syrena (kobieta z rybim ogonem, przedstawiająca greckie bóstwo wodne); Krakowa orzeł biały, Lwowa lew kroczący, Poznania dwa klucze i t. d.

Wedle herbów nazwano też dzieje rodzin szlacheckich herbarzami, ponieważ szeregowano je pod wspólnym herbem.

O herbach poucza nauka zwana heraldyką. U nas opisał pierwszy herby polskie Jan Długosz w XV. wieku. Herbarze pisali: Paprocki w XVI., Niesiecki w XVIII. wieku i wielu innych.

Na progu Nowego Roku.

Biorę mą harfę... lecz czemuż w tej chwili
Ręka drży moja i serce kołacze?
Chcę grać piosenkę... struna, jak ptak kwili,
Lęka się, trwoży i skarży i płacze...
Czemu? Gdyż stoim dziś na nowym progu,
Który nieznane ukazuje szlaki;
Jakąż pieśń z duszy zanucimy Bogu?
Czyż lot rozwiniem jako młode ptaki?
Czyliż z nas każdy do celu doleci
I swą chorągiew zatknie bez przeszkody?
Czyż potomności latarnię zaświeci
I białą szatę przywdzieje na gody?

O ta obawa — żeglarze wy moi,
Bracia rówieśni — mem sercem kołata!
A dźwięk zegaru myśli niepokoi:
Czem będziem kiedyś dla całego świata —
Czyliż tym liściem, co zwiądł gdzieś w ustroni,
Bo nikt też nie znał jego barw i woni!...
Kto z nas powiedzie hufce nową drogą?
Kto wiek dwudziesty umai, przybierze?
Kto mocą liry śmierć odegna srogą
I z namaszczeniem odmówi pacierze
Za tych, co w przeszłym wieku pogrzebani
Wołają ku nam, z dalekiej otchłani!...

Puste dziś miejsca... wszak na nas czekają,
O bardzo wiele, wiele nam potrzeba!
Oto anieli pierwsi hymny grają,
Więc zaczynajmy z tą Sybillą nieba:

Trzeba dziś światu wytrwałych szermierzy,
Coby i męstwo i wiarę kochali,
Kiedy godzina do pracy uderzy,
By hartowani byli jak ze stali. —
Trzeba dziś światu na obszernej niwie
Cichych rolników wśród płomieni słonka,
Aby zbierali z pola plon szczęśliwie,
By im otuchę niosła pieśń skowronka...
Trzeba dziś światu i obywateli
Z prawem sumieniem, z miłością dla ludu,
I dla tej ziemi, z której życie wzięli,
Coby własnego nie skąpili trudu,



Trzeba nam dzisiaj i kapłanów wiele,
Takich, co uczą słowem i przykładem—
Co wierni Panu w świecie czy w kościele
Są wybrańcami... świecą jak djadem!...

Trzeba nam wieszczów, trzeba nam pieśniarzy,
Co to do nowych torów ludzkość wiodą,
I lutnię kładąc u Pańskich ołtarzy,
Wciąż darzą pieśnią ognistą i młodą...
Ale nie takich, którzy omamieni
Złotem i zyskiem, lub cielesną żądzą,
Dają dziś zgniłe owoce jesieni,
I po manowcach i bezdrożach błądzą.
O dobrych piewców módl się ziemio cała,
Bo śpiew to pokarm, śpiew narody poi,
By Chrystusowa miłość w nas gorzała,
Pieśni potrzeba wieszczów — drodzy moi!
Biada pieśniarzom, co dar pożyczony
Od Mistrza piękna, obryzgali błotem!
O biada wieszczom, którzy dla mamony
Skalali ziemię zlaną krwią i potem!

A wszyscy lepsi strudzone swe czoła
Hen! na spoczynek ułożyli w trumnę;
Lecz na ich miejsce kogóż Bóg powoła?
„Dusze pokrewne, szlachetnością dumne!“

Czekamy na nich.. O roku młodzieńczy!
Nie zawiedź naszych serdecznych nadziei...
Niech nas nie zwodzą blaski barwnej tęczy,
Niech słońce widmo rozprószy zawiei...

Stellina.

Wielcy ludzie wszystkich wielkich epok twórczych, ci, co ponapisywali prawa, co poodnosili przeważne zwycięstwa, co zostawili światu wysokie pojęcia filozoficzne albo arcydzieła sztuki, wszyscy są podobni między sobą; wszyscy oni działali pod wpływem tegoż samego ducha, i wpływ, jaki wywierali na ludzkość, był zawsze tejże samej natury.

Adam Mickiewicz.

Święto Trzech Króli.

Kościół święty nazywa święto Trzech Króli w języku liturgicznym Epifanią, co z greckiego oznacza Zjawienie się lub Objawienie, mianowicie Pana Jezusa Trzem Królom i mędrcom.

Owi trzej mędrcy byli poganinami, objawienie się im Dzieciątka Jezus i poznanie Go przez nich miało znaczenie powołania przez Zbawiciela do Królestwa Niebieskiego wszystkich narodów pogańskich. Od tego momentu skończył się przywilej ludu żydowskiego na naród wybrany, już spełnił on swoje zadanie: przechowania na ziemi wiary w prawdziwego Boga.

Trzej Królowie, oddając pokłon Królowi królów i składając Mu dary poddańcze, uczynili to w imieniu całego świata, od którego w myśli Bożej, wiodącej ich przez gwiazdę cudowną do Betleem, stanowili poselstwo.

Nietylko królami, lecz także mędrcami byli trzej wysłańcy narodów; w osobach ich zatem nietylko ziemska, lecz także i duchowa potęga świata, wiedza i nauka uznały swą nicość, wobec Objawionego Mesyasza, który jest mądrością samą.

Jeżeli tedy święto Trzech Króli jest tak wielkiej wagi, to nie dziwno, owszem, to rzecz naturalna i konieczna, że przybycie Trzech Króli do Betleem, jako poselstwa od wszech ludów, było na równi z najważniejszemi zdarzeniami, dotyczącemi Zbawiciela, przepowiedziane przez proroków. I tak, prorok Izajasz wyraźnie zapowiada: „Wstań, oświeć się Jeruzalem, bo przyszła światłość twoja a sława Pańska weszła nad tobą. Bo oto ciemności okryją ziemię i mrok narody, ale nad tobą wnijdzie Pan, a sława Jego nad tobą widziana będzie. I będą chodzić narodowie w światłości twojej, a królowie w jasności wejścia twego. Podnieś w koło oczy twoje, a oglądaj: ci wszyscy zgromadzili się, przyszli do ciebie, synowie twoi zdaleka przyjdą, a córki twoje z boku powstaną... Obfitość wielbłądów okryje cię, wielbłądowie prędcy, Madian i Epha, wszyscy z Saby (Madian i Epha, to są starożytne nazwy krain, leżących za Arabią, na Wschód od Ziemi świętej, i obfitujących w wielbłądy. Saba, jest to również kraina, obfitująca w złoto, kadzidło i mirę, i przeto zwana także Arabią Szczęśliwą). Na wielbłądach też przyjechali do Betleem Trzej Królowie, złoto i kadzidło przynosząc“ (LX. 1—6). Podobnie mówi Król-Psalmista o Zbawicielu: „I będzie panował od morza aż do morza i od rzeki aż do krajów okręgu ziemi. Przed Nim będą padać Murzynowie, a nieprzyjaciele Jego ziemię lizać będą. Królowie Tarsis i wyspy przyniosą dary; królowie arabscy i Saba przyniosą upominki i będą Mu się kłaniać wszyscy królowie ziemscy, wszyscy narodowie będą Mu służyć“ (LXXI. 8—11).

Dary, złożone Dzieciątku Jezus przez trzech mędrców, miały głębokie znaczenie symboliczne. Mianowicie złoto ofiarowali oni Zbawicielowi, jako Królowi Kościoła św., który jest Jego królestwem; kadzidło — Bogu, a zarazem Najwyższemu Ofiarnikowi czyli Kapłanowi, który sam z siebie złożył Bogu Ojcu ofiarę za grzechy ludzkie na ołtarzu Krzyża, i wreszcie mirę *) jako człowiekowi, mającemu cierpieć za nas. Na pamiątkę właśnie tych darów, kapłani poświęcają w dzień Trzech Króli wonne kadzidło, zawierające kruszyny balsamu i miry, a jeśli mają, to i złoto. Dodawana jest też kreda, którą wierni znaczą na drzwiach pierwsze trzy litery imion trzech króli G. M. B., z krzyżykami nad każdą z nich z osobna. Imiona ich bowiem są: Kacper albo Gaspar, Melchior i Baltazar. Moralne znaczenie poświęcenia „złota,“ „kadzidła“ i „miry“ jest takie, żeśmy ofiarować Zbawicielowi naszemu powinni szczere, duchowne złoto kornego poddaństwa, kadzidło chwały naszych czynów, myśli i uczuć, i nakoniec mirę pokuty i umartwienia za popełnione winy. W szczególności zaś kadzidło oznacza modlitwę, która jest najczystszem i najdoskonalszem wyrażeniem chwały Bogu należnej.

Trzej Królowie
przed Bożą Dziecina.

Kazimierz Wielki (jako Kasper).

Niech będzie pochwalony
Chrystus, niebieski Królewic,
W onej szopie urodzony
Z królowej matek i dziewic.

Jak w Piastowe progi kmiece
Posłałeś swoje anioły,
A Piast witał je w pasiece
I sadzał za swoje stoły,

Tak dziś, gdy Twa gwiazda świeci,
Chłopów król, wnuk Piasta dziada,
Wita Cię, Boże, wśród kmieci
I myrrhę wonną Ci składa.

Jagiełło (jako Melchior).

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś Panie:
W glory złotej długie panowanie,
I Apostolstwo świętej Twojej wiary,
I zwycięstwami szumiące sztandary,

I w jedną złotą związałeś Koronę
Narody, bratnią miłością złączone —
Przez ten wiek złoty naszego żywota,
Dziś od nas, Panie, racz przyjąć dar złota.

Jan Sobieski (jako Baltazar).

Ciebie Boga chwalimy
I Panem wyznawamy;
Z kadzidlanymi dymy
Serca i miecz bez plamy
Do Ciebie podnosimy.

Przeciwko pohańcowi
Twa Moc nas powołała:
Rycerze my Krzyżowi;
Nie nam, nie nam bądź chwała,
Lecz Twemu Imieniowi.

Kadzidło woni drogiej
Niesiemy Tobie w dani,
A księżyc złotorogi
Niebieskiej naszej Pani
Rzucimy dziś pod nogi.

Z. Morawska.

*) Mira jest to żywica, wyciekająca z drzewa balsamowego.

Starodawne zwyczaje.

Trzej Królowie,

Wojna, jak wojna, raz ci, raz tamci odnoszą zwycięstwo, więc jedni się smucą, a drudzy krwawemi łzami płaczą.

Ale gdy pokój nastąpi, to już i zwycięzcy i zwyciężeni odetchną, boć każdemu srogie boje choćby i w zwycięztwie się uprzykrzą, a cóż dopiero ci, którym lepsza zajaśnieje dola.

Ucieszyły się też miasta: Toruń, Malbork, Sztum i wiele innych, a z niemi i część Prus i Pomorza, gdy Kazimierz Jagiellończyk zawarłszy pokój z Krzyżakami w Toruniu r. 1466, wziął je pod swoją opiekę.

A miały się też i z czego cieszyć. Podczas trzynastoletniej wojny Zako-



Trzej Królowie składają dary Dzieciątku Jezus.

nu z Kazimierzem Jagiellończykiem niemało się biedy nacierpiały, a pod panowaniem krzyżackiem, wcale im słodko nie było.

Ba, nietylko, że nie słodko, ale głodno i chłodno, boć pola były nie obsiane, a lud krył się po lasach jako te dzikie zwierzęta.

Kiedy więc Kazimierz Jagiellończyk i zboża i odzienia im dowiózł a i spokój zapewnił, uciecha była wielka. Radowano się, a radość onę jako kto mógł, tak wyrażał.

Zdarzyło się właśnie, że w dzień Trzech Króli Kazimierz z małżonką i dziećmi do Torunia zjechał.

— Trzeba przecież najmiłościwszemu się pokłonić a wdzięczność naszą wyrazić — mówią mieszczanie.

— A trzeba — przyświadczyli inni. Rada w radę i uradzili.

Kiedy król wraz z małżonką i trzema najstarszymi synami Władysławem, Olbrachtem i Kazimierzem, co potem został świętym, a też córką Zofią, zabawiał się na zamku *) przychodzi marszałek i powiada:

— Najmiłościwszy panie, odebraieś niedawno hołd od miasta krzyżackiego, a tu dziś aż trzech króli przybyło z daleka i pokłonić ci się pragną.

— Co zacz? — zapytał Kazimierz zdziwiony.

Ale zaraz się pomiarkował i uśmiechnąwszy się, rzeknie:

— Prosić, prosić — niech wejdą!

I spojrzawszy na żonę, powiada:

— Pewnie jaka niespodzianka.

Królowa Elżbieta spytała:

— A dzieci mogą pozostać?

— Niechaj, to się zabawią — odpowie król.

Wkrótce też weszło trzech młodzieńców, w piękne, wzorzyste płaszcze, w korony na głowie przybranych, z długiemi brodami, a każdy coś pod onym płaszczem ukrywał.

*) Podczas napadów szwedzkich zburzony w XVII wieku.

Weszli, skłonili się pięknie a jeden z nich pocznie:

— Z dalekiej przybywamy krainy, takiej, gdzie śniegu niema jeno na górach, drzewa kwitną, słodkie wydając owoce, a też i wszelkich wonności dostatek. Szliśmy długie dni i długie noce, ażeśmy onego czasu przyszli do ubożuchnej stajenki i pokłonili się Panu nad Pany, co Dzieciątkiem maleńkiem na świat przyszedł i przyniósł światu zbawienie. Do onego Dzieciąteczka prowadziła nas gwiazda, trafiliśmy też łacno, ucieszywszy serca nasze, ofiarowaliśmy Mu dary, otrzymali błogosłowieństwo, odeszli opowiadać światu, cośmy znaleźli. Od onego czasu, chodzimy i szukamy ziemskiego pana, coby sprawiedliwość i ucieszenie pokrzywdzonym uczynił. Aż oto posłyszeliśmy o wielkim królu, co wielu ludzi od złości i prześladowania ochronił, zgłodniałe nakarmił, a z lasów błąkających się do domu nawrócił. I jako tam do Betleem prowadziła gwiazda, tak tutaj do Torunia przywiódł nas głos ludzki, sławiący hojność i dobroć tego miłościwego pana. Przychodzimy, hołd mu składamy a dary też jako przystało, przynosimy. Więc dla najmiłościwszego pana, sygnet, ażeby wyroki sprawiedliwe miał czem pieczętować.

Tu jeden z przybyłych położył przed Kazimierzem wspaniały pierścień...

— A dla najmiłościwszej jego małżonki wonności, które wszakże mniej od jej cnót wonieją.

I zaraz drugi przed królową Elżbietą postawił szkatułkę, z której zapach róż, lawendy i innych wonności się rozchodził.

A ów co miał mowę ciągnął dalej:

— A dla najmiłościwszych królewiąt słodkie figi, daktyle, rodzynki, migdały i orzechy, ażeby dobroci z nich nabierając, do najmiłościwszego rodzica i rodzicielki podobnymi się stali, czego im i sobie życzymy, amen — dodał.

Wtedy trzeci z przybyłych postawił koszyk napełniony wspomnianemi przysmakami, z pomiędzy których wyglądały rumiane jabłuszka, jak twarzyczki dzieci królewskich.

Jeżeli królestwo ichmość byli uradowani z gości i ich darów, dzieci jeszcze więcej się ucieszyły.

Powyciągały też szyje, chcąc zajrzeć w głąb koszyka, a ślinkę łykając. Żadne wszakże nie śmiało nic ruszyć, bo na dworze Kazimierza wielka karność i subordynacya panowała.

Kazimierz podziękował przybyłym i na ucztę do swego stołu zaprosił, a w końcu dopiero rzekł do najstarszego

syna, który wtedy miał zaledwie lat dwanaście.

— Władku, poczęstujże nas darami, któreście otrzymali.

Władek nie dał sobie dwa razy powtórzyć i teraz już nietylko królestwo ichmość, ale i dzieci ich wielce się weselili.

Od tego czasu powstał zwyczaj, że w dzień Trzech Króli chłopcy przebierają się stosownie, idą do dworu, składają życzenia, przynoszą trochę orzechów, i w zamian obdarzeni, biegną od chaty do chaty, by wesołością i zabawą utrzymać starodawny obyczaj.



Znaczenie na drzwiach kredą imion Trzech Króli: G. † M. † B.

Ks. Dr. S. Trzeciak.

Z Jeruzalem do Betleem.

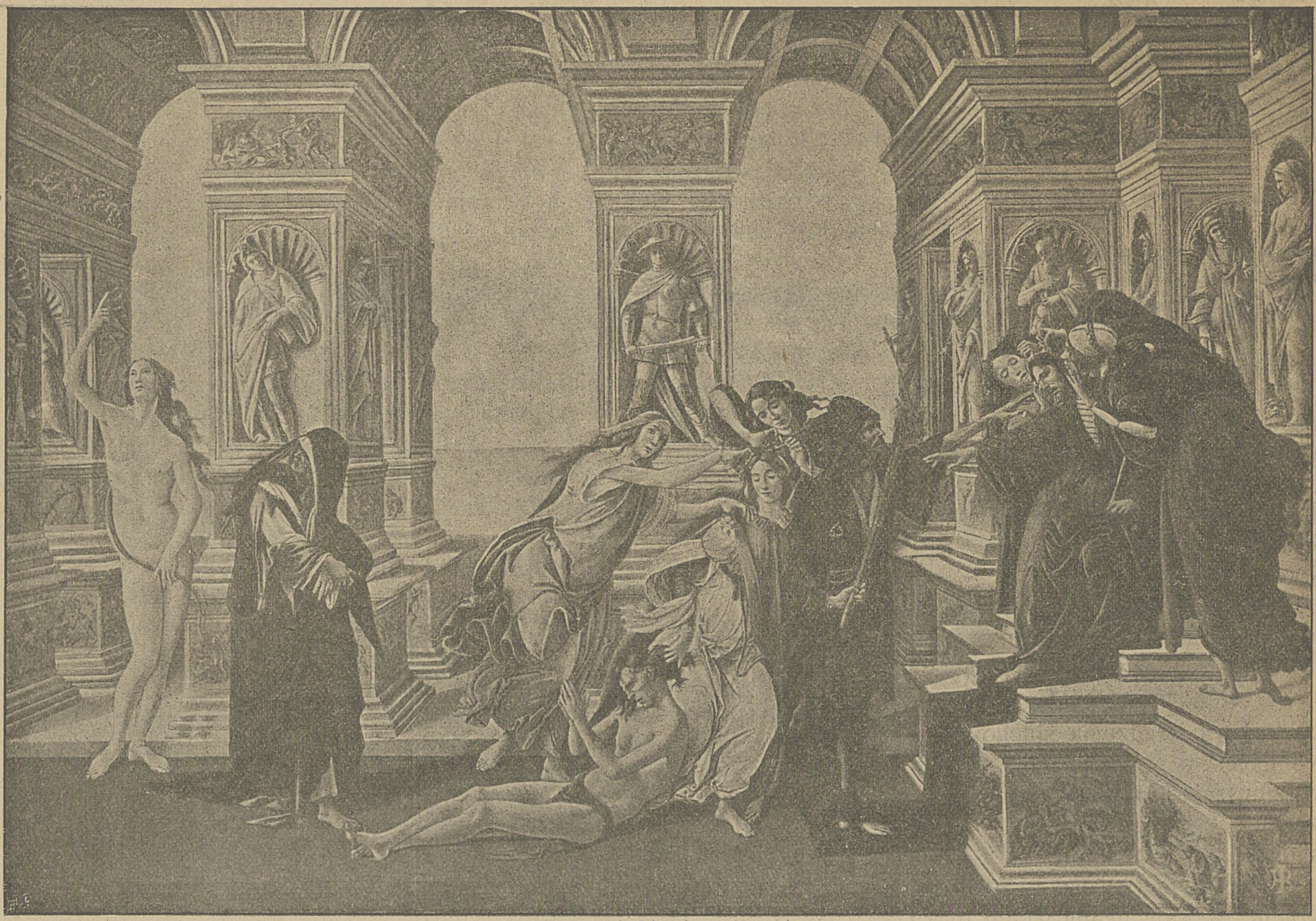
W czasie obecnym rozbrzmiewają w kościołach naszych prześliczne nasze pieśni, kolędami zwane, opiewające Betleem, pastuszków i inne sceny towarzyszące zstąpieniu na świat Boga Chrystusa.

Pod wpływem tych kolęd, przenosi się duch nasz do tych miejsc i okolic Ziemi świętej, gdzie się narodził Zbawiciel świata. To daje mi sposobność skreślenia słów kilku, by podzielić się z Czytelnikami opisem uroczystości w Betleem i tem, co czułem podczas mojej bytności.

Już od rana w wigilię Bożego Narodzenia droga z Jeruzalem do Betleem zapełnia się coraz więcej licznymi pielgrzymami. Pieszo, konno, na osłach i wielbłądach, już też drogą kołową, zdążają tłumy, należące do różnych sfer i różnych narodowości. Pstrej rozmaitości ubiorów wtóruje podobna również rozmaitość języków. Droga pagórkowata, czasami wskutek padających już w tym czasie deszczów, bywa nawet dość przykra. Lecz zapomina się o trudach, jeśli się pomyśli, że tędy zdążała Najświętsza Dziewica ze Swym Oblubieńcem, że wkrótce tą drogą również przechodzili trzej mędrcy ze Wschodu, szukając objawionej Prawdy. Tradycya uświęciła tę drogę licznemi pamiątkami. Z tych tutaj wspomnę o pagórku, na którym spoczywała Święta Rodzina. Miejsce to tak uświęciła tradycya, że dzisiaj wypoczywa na niem choćby na jedną minutę każdy podróżny pieszy czy przejezdny, chrześcijanin czy muzułmanin. Po przebyciu kilku pagórków, jeszcze przechodzi się obok grobu Racheli, żony Jakubowej, o której nasza pieśń mówi: „W ramie głosy pod niebiosy wzbijają się Racheli, gdy swe syny bez przyczyny w krwawej widzi kąpieli itd.“ wreszcie po 2 godzinnej drodze pieszo z Jeruzalem staje się w miasteczku Betleem. Już sam widok tego miasteczka tak bardzo nastraja i podnosi ducha, a cóż dopiero, gdy zbliżymy się i wejdziemy do groty Narodzenia Zbawiciela świata. Wypada tu zaznaczyć, że Chrystus Pan przyszedł na świat nie w stajence, jak powszechnie się u nas utrzymuje, ale w podziemnej grocie.

Okolica Betleem z wapiennymi wzgórkami posiada bardzo wiele wydrążeń skalistych czyli grot, które służą pasterzom za schronienie w czasie deszczu i w nocy, a podróżnym krajowcom za zwykłe noclegi. Nawet Europejczycy nocują w takich grotach, albo w grobach, jeśli nie chcą wozić ze sobą namiotów. Zdarzało się mi dość często przebywać w takich grotach i grobach, do których w zimie tj. w porze deszczowej chroni się człowiek i dzikie zwierzęta również. To też nim się do takiej groty wchodzi, to wpierw się rozgląda, czy nie jest już zajętą przez dzikich mieszkańców. Wejście do groty jest zupełnie otwarte, więc w nocy trzeba go pilnować przed nowymi przybyszami. Do jednej z grot nieco poza miastem będącej, schroniła się N. M. Panna ze św. Józefem, bo dla nich, jako dla biednych, nie było miejsca w mieście. W takiej podziemnej grocie przyszedł na świat Zbawiciel i odtąd ta grota stała się światłością, drogowskazem i życiem dla całego świata. Odtąd ciche i skromne miasteczko Betleem stało się sławniejszem, niż wszystkie stolice władców.

Już w r. 327 zbudowała nad grotą św. Helena wspaniałą bazylikę. Po różnych zburzeniach i zmianach losów wznosi się i dzisiaj nad ową grotą siedmionawowa bazylika, lecz strasznie opuszczona i zaniedbana. Z tej bazyliki wchodzi się schodami do groty i tuż przy wejściu spostrzega się ołtarz z napisem na srebrnej gwiaździe: „Tu narodził się Zbawiciel świata“. Do wzmiankowanej groty zdążają co roku tysiące pielgrzymów z całego świata, tak chrześcijańskich jak i muzułmańskich. Szczególniej w wilię Bożego Narodzenia staje się miasteczko i grota widownią wspaniałych uroczystości. Około południa napływ pielgrzymów wzrasta nadzwyczajnie. Mieszkańcy wypełniają szczelnie okna i dachy domów, przypatrując się pstrej masie różnych narodowości. Wojsko tureckie ustawia się na placu przed kościołem dla pilnowania porządku i tworzenia asysty patryarsze Jerozolimskiemu, który przybywa tutaj o godz. 3 popołudniu. Po powitaniu dostojnego gościa przez miejscowe duchowieństwo wyrusza procesya szpalerem tworzonem przez wojsko do świątyni Pańskiej, gdzie odbywają się nieszpory w kościele św. Katarzyny, należącym wyłącznie do katolików a odgraniczonym tylko ścianą od kościoła Narodzenia Zbawiciela. Około 12 w nocy tłumy pielgrzymów wypełniają kościół i świętą grotę. Wszystko korzy się przed obliczem Stwórcy, pragnąc oddać cześć, hołd i uwielbienie swemu Bogu i Zbawicielo-



Botticelli.

Potwarz.

Powyższa reprodukcya obrazu słynnego włoskiego malarza Botticelli'ego przedstawia allegorycznie skutki oszczerstwa. We wspaniałej sali siedzi na tronie sędzia, któremu „Nieuctwo“ i „Podejrzliwość“ szepcą coś do ucha. U stóp tronu stoi „Zazdrość“, wyobrażona w postaci mężczyzny, w którego ślady podąża szybkim krokiem „Potwarz“, ciągnąc za włosy nagiego młodzieńca, o cierpiącym wyrazie twarzy; „Potwarz“ tak się spieszy, że dwie służebnice: „Chytrość“ i „Podejście“ kończą jej trefić włosy w sali sądowej. Na lewo od widza posuwa się wolnym krokiem „Żal“ upostaciony w osobie starej, odzianej w łachmany kobiety, a za nią stoi „Prawda“, naga, z ręką i oczyma wzniesionemi ku niebu.

Trudno opisać ruch, jaki panuje w tym allegorycznym obrazie; nawet figury stojące lub siedzące w miejscu, nie są spokojne, lecz wyrażają uczucia swoje za pomocą żywych, oryginalnych, niezwykłych gestów i wygięć ciała, do których przystosowuje się odpowiednie udrapowanie szat, dalekie od klasycznej harmonii i symetryi.

Rycina zaciekawi z pewnością niejednego z czytelników, którzy z powodu zmiany roku otrzymają potwarcze, zaopatrzone w marne karykatury bezimienne pocztówki, zasługujące jako ohydne piśmidła na bezwzględne potępienie.

---

wi wraz z aniołami, pastuszkami i Trzema Królami.

O północy rozpoczyna się Msza św. i wtedy ciche to ustronie zamienia się jakby w nadziemską niebiańską krainę. Tak zapomina się tu o wszystkiem co dręczy i boli, że mimowoli wyrywa się głos z duszy: „Panie, dobrze nam tutaj“. Od północy, aż do godziny 3-ej po południu dnia następnego odprawiają się bez przerwy Msze św. Rozbrzmiewający hymn anielski „Gloria in excelsis Deo“ i świadomość miejsca świętego budzi tak podniosłe uczucia, że pozostawiają one w duszy ślad nigdy niezatarty, najdroższe wspomnienie na całe życie.

Ten dopina celu kto umie być odważnym.

* * *

Dobra żona jest aniołem, a zła szatanem domowego ogniska.

Ignacy Krasicki.

NOWY ROK.

Nowego roku czas każe winszować,
Więc się zdobywam na powinszowanie;
Daj Panie Boże, w tym się tak zachować,
Iżby się nasze spełniło żądanie.
I spełni pewnie, kiedy w każdym kroku
O sobie będziem myśleć, nie o roku.

Bo cóż rok? Bożym czas zmierzony darem,
Miejsce i pora naszego działania:
Nie dni, lecz czynów dzielmy go wymiarem,
A czynów plennych prawego starania:
Wówczas, jak wieniec kłosami uwity,
Da plon szacowny, da plon znamienity.

Przeszły tysiączne, przejdą i następne,
Szala je wieczna, jak zmierzy, tak ziści:
Z nas plenne, z nas czcze, prawe, lub występne,
Skutek użycia, czucia i korzyści:
Odmiana, trwałość, nieczynność ochota,
Da poznać, w czem jest występek, lub cnota.

Lecz Sprawca, który rzeczy mierzy trwale,
Spuszcza wzrok względny na tych, co sprawieni:
Nie jest człowieka, co jest doskonale,
Sobą nikczemni, Sprawcą orzeźwieni,
Czekajmy losu. Najwyższa Istoto!
Karzesz z odrazą, nagradzasz z ochotą.

Ig. Krasicki.

Przyjaźń, która żyje pochlebstwem, umiera od pierwszej prawdy wypowiedzianej.

* * *

Szanuj prawość, zabraniaj złego, podejmuj trudy, a kochaj piękno.

Władysław Karoli.

Nowelka noworoczna.

W noc św. Sylwestra położyłem się ziębnięty i trochę rozmarzony, z powodu, że pani Pulcherya Drumdalska, gospodyni domu, w którym witałem rok nowy, za często dolewała mi tokaju...

Byłbym leżał do południa, może nawet i dłużej, do jakiej drugiej, lecz w tem... łomot... łomot...

Śniło mi się właśnie w tej chwili, że jestem w Poznaniu, obleganym przez zgraje hakatystów i że działa ich mordercze rozwalają mury miasta.

Lecz były to złudzenia słuchowe... Ktoś walił pięścią w drzwi moje zapamiętale, zmuszając do spiesznego ich otworzenia.

Wstałem...

W odświętnym kożuchu wszedł stróż domu, w którym mieszkam (nazywam go poufale moim stróżem) i recytował, sypiąc jak z rękawa:

—Zdrowia! szczęścia, złota, brylantów panu, przy tym nowym roku!

Wygłosiwszy to, czekał.

Poczułem, że najpewniejszym środkiem, przyspieszającym powrót do wyziębniętego łóżka, będzie wręczenie talara przybyłemu.

Uczyniłem to i cel został osiągniętym.

Bum!... bum... bum... rozległo się znowu.

Uważałem za właściwe tym razem włożyć odzież, pomimo, iż stara odwieczna gościnność Słowian szumiała mi jeszcze w głowie.

— Któż tam?... zapytałem.

— To ja proszę pana, Walentowa, zdrowia, szczęścia, żoneczki, a przedewszystkiem pieniędzy!

— Ma Walentowa talara — rzekłem dumnie — dla małej na pierniki!

— Bóg zapłać, złoty paniczu, padam do stópek.

Zamknąłem drzwi gwałtownie.

Puk!... puk... puk...

— Któż to?

— To my panie: ja, co panu przynoszę gazety, ja posłaniec, co panu odnoszę listy, ja praczka, ja chłopiec od krawca, ja, co podaję obiady, ja, co odnosiłem rower do naprawy, ja i ja i ja, wszyscy życzymy panu przy nowym roku szczęścia, zdrowia, powodzenia, a przedewszystkiem dużo, dużo, pieniędzy.

Obdzieliłem ich wszystkich, wyszli dziękując.

Pocieszając ochłodzoną głowę, zrobiłem pośpiesznie bilans.

Na Sylwestra pozostało mi po świętach, po różnych wydatkach okrągłe 50 marek, obecnie okrągła marka.

— Ludzie, ludzie i wy mnie przyszliście życzyć dużo, dużo pieniędzy, abym je wam mógł rozdać.

Dziwna wasza filozofia!

— No, ale pocieszam się: wszelkie dobra doczesne chwilowo tylko są w naszem posiadaniu.

— Szczęśliwy jestem, jeżelim dobrze zrobił, dając je więcej potrzebującym.

Jeżelim otarł łzę jaką to szczęście!

Wychodzę na ulicę. Spotykam przepiękną, zaróżowioną od wiatru kuzyneczkę, Stefkę.

— Życzę ci Stefciu zdrowia, szczęścia, pięknego dobrego i bogatego męża!

— A kuzynkowi czego życzyć?

— Ja sam nie wiem, pragnienia moje się nie ziszczają, a pieniędzy brak zawsze.

— Eh! kuzynek tak zawsze mówi, a niedługo dom kupi.

— Dziś wieczór idziemy do teatru, może kuzynek z nami.

— Dobrze zobaczę!...

Przyszedłszy jednak do domu, zastanowiłem się, że z małym zasobem zdawkowej monety nie sposób sięgać po wielkie aspiracye

Pozostałem w domu, posłałem niby... na próbę po obiad... potem po kawę z bułką, a puszczając dym z papierosa, łowiłem echo pięknych, dźwięcznych słów, które corocznie słyszę:

„Życzymy panu szczęścia i dużo, dużo pieniędzy.“

Kalendarz u różnych ludów.

Istnieją 3 naturalne jednostki czasu: obrót ziemi dokoła osi, obrót księżyca, dokoła ziemi i ziemi dokoła słońca; przeciętną wartość tych jednostek stanowią: 24 godz., 29 dni, 12 g. 44 m. 29 sekund (dla księżyca) i nakoniec 365, 24 setne dni — dla słońca. Liczby te wskazują dość wyraźnie całą niewspółmierność owych trzech jednostek, które co więcej, są od siebie całkiem niezależne. Od czasów najdawniejszych starano się je powiązać ze sobą i utworzono też rok księżycowo-słoneczny, najbardziej używany, którego długość jest w stósunku prostym do ruchów słońca i księżyca. Jakkolwiek zawiła i złożona na pozór miara taka w rzeczywistości była bardzo prostą, gdyż słońce i księżyc oszczędzali człowiekowi trudów w rachubie dni, skoro lata i miesiące wspaniałemi głoskami zapisywały się na przestrzeni nieba i w państwie roślinnem. Ponieważ rok miesięczno-słoneczny początek swój czerpie w naturze, znajdujemy go więc w najdawniejszej formie kalendarza żydowskiego: rok Izraelitów regulowano w ten sposób, iż święto paschy obchodziło się 14-go dnia pierwszego miesiąca, gdy jęczmień przynoszony na ofiarę dojrzał podczas pełni księżyca. Lecz jeżeli można było przypuszczać, że jęczmień nie dojrzeje w ciągu owych dni 14, natenczas wstawiono jeden miesiąc Adar i nowy rok rozpoczynał się wraz z pełnią nowego miesiąca.

Kalendarz żydowski posiada okresy 19-stu lat słonecznych, co równa się 235 miesiącom księżycowym; lata rachuje się tam od stworzenia świata. przypadającego według Izraelitów w dniu 7-go października na 3,761 lat przed Chrystusem.

Chińczycy i Indusi mierzą swój czas podobnie. Miesiąc chiński rozpoczyna się wraz z pełnią; pierwszym zaś miesiącem roku jest ten, kiedy słońce wchodzi w znak ryby. Lecz jeżeli słońce w ciągu nawego miesiąca nie wstąpi w jakiś nowy znak zodyaku, natenczas wprowadza się miesiąc dodatkowy, oznaczony taką samą liczbą, jak i poprzedzający, a nadto jakimś znakiem szczególnym. W ten sposób miesiące mają po dni 29 lub 30, lecz kolejne następstwo ich nie podlega stałej zasadzie; nie zachowuje się jej również ani przy wprowadzaniu dodatkowego miesiąca, ani przy wstawianiu dopełnionego roku; ponieważ zaś początek lat i miesięcy obrachowuje się według ruchów ciał niebieskich, przeto rok całkowity jest czemś niepewnem i zmiennem. Kilka minut, lub nawet sekund, mogą zmienić początek miesiąca, lub nawet sprowadzić różnicę dosyć znaczną.

Trudno byłoby powiedzieć, w jaki sposób starożytni dokonywali swych obrachowań astronomicznych; to też przejście od jakiejś daty chińskiej do odpowiadającej jej w innej chronologii byłoby prawie niemożliwem, gdyby uczeni tego kraju nie używali od czasów najdawniejszych okresów 60-dniowych (tak jak my siedmiodniowych tygodni) niezależnie od ruchów księżyca. Niepewność i trudność w oznaczeniu daty uczyniły z chińskiego ka-



Józef Brodowski. **Na dziedzińcu stajennym.**
Grupę koni z źrebięciem znakomicie odmalował malarz artysta na obrazie „Na dziedzińcu stajennym“, którego reprodukcyę zamieszczamy powyżej.

lendarza niezbędny przewodnik. Redakcyą tego wydawnictwa powierza się tam zwykle cesarskiej komisyi matematyków, znajdującej się często pod prezydencyą księcia krwi. Chwila wydania kalendarza jest istnem świętem, bywa on niezwłocznie przedstawiony członkom cesarskiej rodziny i wysokim dostojnikom.

Lata oznaczone są tam liczbą podwójną, pierwsza jest urzędową, zmienną, i wskazuje długość danego panowania; druga stanowi jedno z ogniw 60-letniego okresu, w którym każdy rok ma inną nazwę.

W całej Azyi wschodniej system rachuby lat oparty jest na kombinacyi jednej z liczb dziesiątka (kan — albo łodyga) z jedną z liczb tuzina chi — albo gałąź). Takie same tworzenie okresów większych przez połączenie dwóch mniejszych, znajdujemy w Japonii, Mandżuryi, Mongolii i Tybecie, gdzie czas dzieli się na okresy 60-letnie, utworzone z 10 i 12 letnich. U Azteków okres 52 lat, złożony z dwóch, czterech lub trzynastu mniejszych okresów, każe przypuszczać zgodnie z Humboldtem, że pojęcia azyatyckie dotarły aż do Meksyku. Mniej często spotyka się rachubę na okresy 12-letnie, przyczem każdy rok nosi nazwę jakiegoś zwierzęcia. Chronologią taką widzimy również w całej Azyi wschodniej.

Miesięczno-słoneczny rok Indusów opierał się na roku słoneczno-gwiazdowym, którego dwanaście miesięcy nierównej długości miały sobie ściśle zakreślony okres trwania. Słoneczny miesiąc Chaitra liczył 30 dni, 20 godz., 21 m., 2 s. i 36 t., podczas gdy dzień podzielony był na 60 godzin. Rachubę zaczynano na nowiu, jaki poprzedzał początek słonecznego roku. Jeżeli dwa miesiące księżycowe zaczynały się w ciągu jednego słonecznego, to pierwszy z nich bywał wstawiony, jako dodatkowy; jeżeli zaś ani jeden miesiąc księżycowy nie zaczynał się podczas słonecznego, to rok tracił wtedy jeden ze swoich zwykłych miesięcy, otrzymując natomiast dwa pośrednie.

Każdy miesiąc indyjski posiadał szczególną nazwę i początek każdego z nich (na nowiu) oznaczany był z taką wielką dokładnością, iż łatwiej jest odnaleść jakąś datę indyjską, niż chińską.

Rachuba lat rozpoczyna się od zera, przyczem drugi z kolei rok oznaczony jest liczbą i t. d., tak, iż każdy rok jest właściwie datą poprzedzającego. Każdemu też w ciągu 60-letniego okresu nadaje się inną nazwę, okres ów różni się od chińskiego i oparty jest na ruchach planety Jowisza; wskutek tego, po każdych trzech i trzydziestu okresach robi się pewne poprawki w rachunku.

Oprócz tego Indusi używają rachuby na wieki.

Grecy używali najprzód okresu dwuletniego, przyczem każdy rok zawierał 12 trzydziestodniowych miesięcy — po tym okresie następował trzeci rok o 13 miesiącach, co utworzyło razem w przecięciu 370 dni na 1 rok; dalej następował okres 10 lat księżycowych, z włączeniem 7 dodatkowych miesięcy, a to w celu otrzymania 19

lat słonecznych. Każdy miesiąc składał się z 29 i 30 dni i czas liczono na olimpijady — po 4 lata w każdej. Era olimpijska sięga 776-go roku przed Chrystusem. W roku 1433 przed naszą erą, Kallippos zaprowadził tam okresy cokolwiek mniejsze niż 19-letnie, gdyż po upływie każdych 76 lat odejmowano dzień jeden.

Rok rzymski składał się z 304 dni za czasów Romulusa, z 365 za Numy i z 366 nieco później wskutek wstawienia miesiąca zwanego Mercedonius.

Rachubę czasu powierzono najwyższym kapłanom. Niektórzy z nich korzystali z tego, aby zmniejszać, lub przedłużać dowolnie czas urzędowania swoich przyjaciół lub nieprzyjaciół. Doszło do tego, iż na wiosnę obchodzono Autumnalia, a święto Cerery obchodzono wród zimy. Juliusz Cezar położył temu koniec, wprowadzając do Rzymu przy pomocy aleksandryjskiego astronoma Sosigenesa, rok z 365 dni i $^1/_4$, wyrachowany przez Euduksyusza w Egipcie, 366 dzień 4-go roku dodawano do miesiąca lutego; stało się to w 46 roku przed Chrystusem. Kalendarz ten jest podstawą naszego.

Wszędzie, gdzie nie obchodzono żadnych świąt na nowiu lub podczas pełni, zarzucono dość prędko rok miesięczno-słoneczny, zastępując go słonecznym.

Starożytni Egipcyanie liczyli zrazu 12 miesięcy po 30 dni w każdym, czyli rok ich miał dni 360, nieco później dołączono pięć dni dodatkowych. Rachubę lat rozpoczynano od chwili wstąpienia na tron królów.

Taka sama rachubę czasu widzimy u Persów, z tą tylko różnica, iż 5 dni dodatkowych łączyli oni z 8-ym, nie zaś z 12-ym miesiącem. Miesiące ich mają nazwy osobne, a lata rachuje się tam od wstąpienia na tron Yedegerda I. (399 lat po Chrystusie).

U niektórych plemion sposób rachowania czasu nie zasługuje na nazwę systemu. Mieszkańcy wysp Taiti używają zmian księżyca i czasu dojrzewania zboża.

Indyanie Makha posługują się księżycem i porami roku, pomiędzy któremi odróżniają tylko dwie: gorącą i chłodną.

Rok meksykański był szczególną odmianą tego, jaki się składa z $365^1/_4$ dnia. Zawierał on 18 miesięcy po 20 dni każdy, do których dołączono 5 dni dodatkowych; później zaś po upływie lat 52 dodawano 13 dni nowych, powstałych z 52 ćwierci dnia.

Stary rok irlandzki również zasługuje na uwagę. Jednostką jego był tydzień 7-dniowy; aby mieć do czynienia z okrągłą liczbą tygodni, liczono 12 miesięcy po 30 dni każdy, dodając w końcu dni 4; następnie zaś co 6 lub 7 lat dorzucano jeden tydzień. W ten sposób rok zawierał 52 lub 53 tygodnie.

Jednakże rok złożony z $365^1/_4$ dni był trochę za długi, gdyż okres jego istotny równał się 365,240 dnia. Dla usunięcia niedokładności papież Grzegórz XIII. przy pomocy uczonego Kalabryjczyka Lilio, rozkazał, aby wszelką liczbę stuleci, nie dzielącą się przez 4, nie uważać za rok przestępny (n. p. 1,700, 1,800 gdzie jest stuleci 17 lub 18). Następnie, ponieważ podówczas należało dodać dni 10, ogłoszono więc nazajutrz po 4-tym października 1582 roku datę 15-go października; stało się to na rozkaz soboru Nicejskiego. Reformę tę gregoryańską wszystkie kraje katolickie przyjęły bez zwłoki. Protestanckie państwa Niemiec przyjęły ją w 1600 r., Anglia zaś 1752. Zaprowadzenie tej rachuby w Polsce w 1586 r., wywołało rozruchy w Rydze.

Rosyanie, Grecy i chrześcianie Wschodu, zachowali kalendarz juliański, daty ich są późniejsze od naszych o dni 12 (10 dni zniesionych w roku 1582 i 2 w 1700 i 1800).

Szach perski Eddin polepszył również kalendarz juliański, tak iż dzisiaj niedokładność w rachubie czasu jest u Persów bardzo nieznaczną.



Na szczęście, na zdrowie, na ten Nowy Rok!
Żeby się rodziła pszenica i groch,
I żyto i wszycko i proso,
Żebyśta Państwo nie chodzili boso.

Wiadomości.

* Za otrzymane z różnych stron liczne życzenia świąteczne i noworoczne, redakcya „Pracy“ składa wszystkim swym przyjaciołom i życzliwym skromne, ale z serca pochodzące „Bóg zapłać.“

Również słowa uznania dla naszego pisma przyjęliśmy z wielkiem zadowoleniem.

Szczęść Boże w Nowym Roku Czytelnikom, Przyjaciołom i zwolennikom „Pracy.“

Redakcya.

* Dla dzieci upominek gwiazdkowy, książeczkę, składającą się z elementarzyka, listownika i śpiewnika, zawierającego między innemi arye z „Halki“ dołączamy do całego dzisiejszego nakładu „Pracy.“

* Dla biednego weterana z roku 1863-go nadesłali do dnia 24-go gru-

dnia r. z. włącznie: Dominium Mierzejewo pod Pawłowicami w powiecie leszczyńskim 10 mrk., pp. J. N. ze Starego Bierunia (G. Śląsk) 1 mrk., S. Ciszak ze Skoków 1 mrk., rodzina p. Ossowicza z Buku 2 mrk. 50 fen. Razem odebralimy na cel powyższy 14 mrk. 50 fen. Kwotę tę doręczyliśmy komu należało.

* **Dla inwalidy** Górnoślązaka nadesłała rodzina p. Ossowicza z Buku 2 mrk. 50 fen.

***Ze sprzedaży** kart gratulacyjnych i kondolencyjnych, zastępujących telegramy, wpłynęły w dalszym ciągu do kasy skarbniczki, pani drowej Kusztelanowej w Poznaniu, 84 mrk. 20 fen.

* **Z Szubina** odebraliśmy od Wydziału, zbierającego składki na budowę sali dla towarzystw polskich tamże, dalszy ciąg spisu osób, które złożyły datki na cel powyższy. Spisu, ogłoszonego w gazetach codziennych, nie zamieszczamy dla braku miejsca w „Pracy.“ W imieniu Wydziału towarzystw dziękują pp. K. Maliski, przewodniczący, i S. Walkowski, skarbnik, za ofiary z wyrazem najszczerszej wdzięczności i łączą gorącą oraz serdeczną prośbę o dalsze łaskawe poparcie.

* **Śrem,** 27. 12. 08. Walne zebranie przedwyborcze na powiat śremski odbędzie się w niedzielę, dnia 3-go stycznia 1909 o godz. 4-tej po poł. na sali p. Sałacińskiej.

Ks. Wiśniewski, przewodniczący. E. Neyman, sekretarz.

Nekrologia.

† **Ś. p. Ludwik Szczawik,** dnia 19-go z. m. w Rogaczewie, przeżywszy lat 47. Pogrzeb odbył się w Kościanie dnia 23-go z. m. — R. i. p.

Od Redakcyi.

— **Stałej Abonentce w Poznaniu.** — 1) Pięknych wierszy zamieszczamy mnóstwo. 2) W drugiej sprawie poinformuje Szan Panią p. A. Niemierkiewicz, księgarz przy placu Wilhelmowskim.

— **Jankowi z Poznania.** — 1) Musiała zajść pomyłka, abonament „Pracy“ wynosi na poczcie tylko 1 mrk. 50 fen. — 2) Za nadesłanie opłatka serdecznie dziękujemy.

— **Panu Cz. w Berlinie.** — 1) Jest to niesumienność lub też lekkomyślność tej osoby, która nam nadesłała takie bezwartościowe adresy. — 2) Osobna odbitka wyjdzie nakładem „Pracy.“ — 3) Pan Dyonizy Królikowski jest redaktorem w „Dzienniku Poznańskim.“ — 4) Kliszy „Słowiańszczyzna“ w formacie pocztówki nie posiadamy, posiadamy tylko w wielkości albumowej ryciny.

— **Panu Fr. Nowackiemu w Poznaniu.** — Odezwę w sprawie fryzyerów odebraliśmy za późno, już po wydrukowaniu gwiazdkowego numeru, więc nie mogliśmy zamieścić.

— **Pani S. w Stęszewie.** — Patrz nekrologię w numerze gwiazdkowym.

— **Panu W. w R.** — Fakt ten historyczny, wielokrotnie dokumentami stwierdzony, jest niezbity, więc wstyd i hańba, że niektórzy nowocześni pisarze i politycy śmią nazwać „kłamliwą bajką“ zamordowanie św. Stanisława.

Kalendarzyk historyczny

Dnia 3 stycznia 1601 zwycięstwo nad Szwedami pod Wenden. — 1730 śmierć hetmana Ludwika Pocieja. — 1795 deklaracya Austryi i Rosyi do zupełnego rozbioru Polski.

Dnia 4 stycznia 1517 sejm pruski przez Zygmunta I. zwołany do Malborga. — 1663 pobicie kozaków pod Starymirem. — 1744 przymierze Katarzyny z Fryderykiem warujące elekcyą Poniatowskiego. — 1771 pobicie Moskwy pod Częstochową.

Dnia 5 stycznia 1576 poselstwo stronników Maksymiliana w Wiedniu. — 1638 śmierć kanclerza Tomasza Zamojskiego. — 1660 zjazd komisarzy do zawarcia traktatu w Oliwie. — 1664 zdobycie na Moskalach Bychowca. — 1665 zabójcy Gosiewskiego śmiercią karani. — 1796 Austryacy wkraczają do Krakowa. — 1831 manifest sejmu do narodu.

Dnia 6 stycznia 1255 Mazowsze przez pacta do korony wcielone. — 1429 zjazd królów chrześciańskich w Łucku. — 1446 Bolesław, książę mazowiecki, królem w Piotrkowie ogłoszony.

Dnia 7 stycznia 1285 synod duchowieństwa Polskiego w Łęczycy. — 1375 synod duchowieństwa polskiego w Uniejowie. — 1573 sejm konwokacyjny.

Dnia 8 stycznia 1634 Władysław IV. przybywa pod Smoleńsk. — 1759 inwestytura księcia Karóla na księstwo Kurlandzkie.

Dnia 9 stycznia 1630 śmierć Eustachego Wołłowicza, biskupa wileńskiego. — 1792 pokój Turcyi z Moskwą, przeciw Polsce wymierzona wojna. — 1795 Stanisław Poniatowski opuszcza Warszawę. — 1796 Prusacy zajmują Warszawę. — 1797 Dąbrowski formuje legiony we Włoszech.

Humor i satyra.

Sen nocy zimowej.

(Z 31. grudnia 1908 na 1. stycznia 1909).

Zmęczony po „Sylwestrze,“ upadłem na łóżko,
Bez czucia; pierś mą straszny jakiś ciężar tłoczy...
Spać nie mogę — tylko mam otwarte oczy;
By zasnąć, trzymam ciągle głowę pod poduszką,
I zapadłem w sen dziwny, co mi umysł mroczy...

I widzę!... Z łona mroków o samej północy,
Pośród wichrów, co huczą wrzaskliwym cyklonem,
Jakiś jeździec, jak pajac, na rumaku wronym,
Mając bębenek w ręku, wyleciał jak z procy —
Mijał góry i doły w galopie szalonym.

Krzyk i pisk dzikich pieśni, odgłos coraz żywszy;
Coraz bardziej się zbliża i śmiech jakiś pusty
Jeździeć w szacie błażeńskiej (tak jakby w zapusty
Na redutę...) Zapytał do mnie się zbliżywszy:
Czy wiesz, że ja: „tysiąc dziewięćsetny dziewiąty?“

„W szatę błazna ubrany jestem dla parady,
A na mnie zawieszone przeróżne manatki,
Na jednym napis „nędza,“ na drugim „podatki,“
A na trzecim znów napis: „hakatystów rady,“
Na czwartym: „do podatków potrzebne dodatki.“

. . . .

Sen mi przerwał listonosz, który drzwiami trzasnął,
I przyniósł różne listy: nadzieje zwodnicze,
Stosy różnych obietnic, nakazy płatnicze!...
Odszedł... Jam długo myślał, lecz jużem nie zasnął,
Tylko pod poduszkę skryłem swe oblicze.

* * *

Nie chcą się dziś żenić!

Nie wiem dla czego?

Aż mnie doprawdy biorą zimne dreszcze,
I nie wiem jakiej przypisać przyczynie,
Że gdy tak potrwa ze dwa wieki jeszcze,
Ród ludzki zginie!!

Dziś tyle kobiet dźwiga stan panieństwa!
Wstydźcie się chłopcy! — żeńcie się do licha!
Co to za moda, każdy od małżeństwa,
Jak djabeł czmycha.

Chyba nie wiecie, jaka rozkosz czeka
Tego, co serce poświęcił kobiecie;
Wszak to jedyny cel życia człowieka!
A wy nie chcecie?

Jakto przyjemnie mieć swą własną
żonę!
Jakież to szczęście, gdy się do dom
wraca,
Zastać oczęta za sobą stęsknione,
To panie, caca!

Żona to anioł, co nad tobą czuwa,
W domu oszczędność, aż miło, porządek,
Ileż to zmartwień żona nam usuwa
Gdy ma rozsądek.

Najgorszy łobuz może się odmienić,
Gdy posmakuje szczęścia małżeńskiego;
Tymczasem chłopcy nie chcą się dziś
żenić
Nie wiem dla czego???

Oj! wiem dla czego!!!

Żonkę mieć łatwo, to nie wielka sztuka,
Na to czekają nasze piękne panie,
Lecz czy się czasem człowiek nie oszuka,
Wielkie pytanie?

Niech stu żonkosiów dobrze kto wybada,
Zaledwie jeden szczęśliwym być może,
A cała reszta żoneczki posiada
Pożal się Boże.

Panna co posag mężowi przynosi,
Myśli, że życie to tylko zabawa,
Więc się wciąż stroi, mizdrzy i kokosi,
To brzydka sprawa.

Póki jest pieniądz, to jeszcze pół biedy,
Lecz gdy się posag na stroje wyszasta,
Kłótnie i kwasy wnet się znajdą wtedy
I będzie basta!
Ileż to kobiet, co nie umie cenić
Cichego szczęścia kółka rodzinnego;
Że więc mężczyźni nie chcą się dziś
żenić
Oj! wiem dla czego!!!

* * *

W sądzie.

— Nazwisko oskarżonego?
— Biedoklepski.
— Czem się pan trudnisz?
— Jestem żurnalistą.
— Co na panu ciąży?
— Ośmioro dzieci i chora żona, panie sędzio!

* * *

Inna przyczyna.

— Dlaczego nie kłaniałeś się Plotkiewiczowi? Czyś go nie poznał?

— Przeciwnie, nie kłaniam mu się dlatego, bom go już dobrze poznał.

* * *

Wytłómaczyła.

— Salcze! jakie jest różnice między pcheł a słonim?

— Bardzo prosta: słoń może miecz pcheł, a pcheł słoni miecz nimoże.

* * *

Aforyzm.

Ludzie najobficiej szafują własnem zdrowiem i cudzą sławą...

* * *

Doświadczony lekarz.

— Jakże pan doktor znajduje stan duchowy mojej żony?

— Otwarcie panu powiem, że więcej tu odemnie pomoże dobra krawcowa.

* * *

Wytłumaczył.

Profesor wykłada w szkole o teatrze greckim i mówi między innemi:

— Starożytni Grecy budowali swoje teatry w ten sposób, że słuchacze siedzieć musieli na przedstawieniach pod gołem niebem...

Jeden z uczniów przerywa panu profesorowi:

— Przepraszam, ale co robili Grecy, kiedy podczas przedstawienia zaczął deszcz padać.

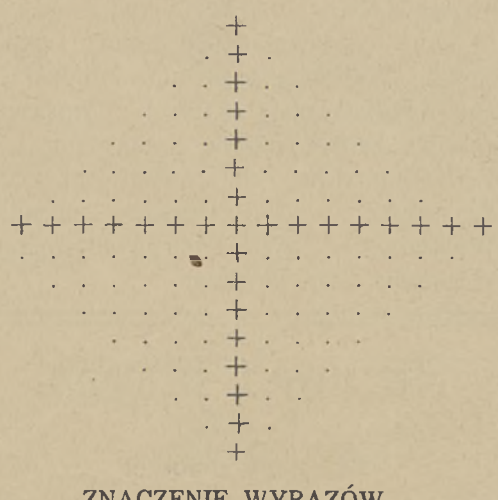
Profesor zdejmuje powoli okulary, czyści szkiełka, namyśla się trochę, wkłada znowu okulary na nos i powiada:

— Kiedy podczas przedstawienia w teatrze deszcz padał, to Grecy mokli.

Łamigłówka.

Ułożył czytelnik „Pracy“, Mieczysław Lipiński ze Strzelna.

Gdy kropki i krzyżyki zastąpisz literami, a następnie przeczytasz oba środkowe rządki, oznaczone krzyżykami w dłuż i w szerz, przyjdziesz do przekonania, że żyjesz w państwie „bojaźni Bożej“, gdyż znajdziesz na zebraniach obrazek „kultury pruskiej“, zakazujący mowy ojczystej.



ZNACZENIE WYRAZÓW.

1. Spółgłoska, 2. Inaczej gorąca woda, 3. Imię męske, 4. Sławny waleczny polski pułk, 5. Miejscowość w Hiszpanii, zdobyta przez szwoleżerów polskich, 6. Założyciele Rzymu, 7. Dwie półkule ziemskie, na których walczył Tadeusz Kościuszko o niepodległość, 8. . . . . 9. Tytuł powieści Henryka Sienkiewicza. 10. Tytuł komedyi Michała Bałuckiego, 11. Wódz turecki w sławnej odsieczy Wiednia, 12. Część ubrania, 13. Dobrze smakuje, gdy w rosole się znajduje, 14. Kompozytor polski, 15. Generał japoński, 16. Samogłoska.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 9-go stycznia włącznie.

Później nadesłanych rozwiązań nie uwzględnimy.

Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nadesłały dokładne rozwiązanie łamigłówki.

Rozwiązanie łamigłówki zamieszczonej w nr. 51-ym:

w	a	w	e	l
s	z	y	n	y
h	a	w	r	e
p	a	ł	a	c
i	ł	a	w	a
w	i	s	ł	a
w	e	z	y	r
w	a	c	e	k
m	a	z	u	r
p	r	a	g	a
k	o	n	a	k
m	n	i	c	h
m	i	e	c	z

„WYWŁASZCZANIE.“

Nagrodę otrzymali: pp. Jan Woźnicki z Poznania, Felicya Brzeska z Poznania i Walentyna Jezierska z Pleszewa.

Czarna ręka.

Powieść amerykańska. Tłumaczyła z angielskiego **E. M.**

2 (Ciąg dalszy).

Kościelny, stary Job, schorowany i drżący zawsze z strachu człowiek, schylił pokornie głowę i szepnął:

— Powiedziałem mu to, ale on nie ustępuje!

— W takim razie wyrzuć go za drzwi tak, że na trzeciej ulicy może zebrać swoje gnaty!

Job spojrzał smutnie na swoje słabe, drżące ręce.

— Ja go mam wyrzucić? Ach, nie potrafię tego, — rzekł smutnie, — jakem Job Brown, i uczciwy człowiek. Ten pan jest wysoki, silny i ma potężny nóż za pasem. Kazał powiedzieć panu, że jeżeli nie zostanie przyjętym natychmiast, to ma pozdrowienia z Nebraski.......

Reverend Boas, który właśnie wypijał wolno resztę mineralnej wody, zachłysnął się teraz tak gwałtownie, że szklanka o mało mu z ręki nie wypadła. Twarz jego posiniała, a blizny ospy wystąpiły w białych plamach na czole i na nosie. Gdy się nieco uspokoił, wyjąkał z trudnością:

—Więc..... hrrrm, hrrrm, — wprowadź tego hrrrm — tego łotra — do mego pokoju! Chcę zobaczyć hrrrm — tego bezczelnego......, który śmie przeszkadzać mi w mych urzędowych zajęciach! I staraj się o to Jobie, aby nam jeszcze kto inny nie przeszkodził!

Natrętny gość musiał stać blizko drzwi, bo zaledwie Job wyszedł z pokoju, ukazał się już na progu.

Charley Boas patrzał na olbrzymią postać nieznajomego, ubranego trochę dziwacznie, najpierw z pewnem przerażeniem, a potem z wzrastającem zdumieniem.

Człowieka tego nie widział nigdy w życiu!

— Powiedzno mój przyjacielu, — zaczął swobodnie, — czy cię djabli podkusili, abyś o tej porze przychodził do mnie?

Nieznajomy rozśmiał się i poufale skinął głową. Potem odkaszlnął, otarł usta ręką i rzekł:

— Goddam, nie bardzo to uprzejme przyjęcie dla człowieka, który przybył tutaj, aby ci dać znaczny zarobek......

— Idź do domu i wyśpij się. Pijany jesteś!

Nieznajomy potrząsnął ręką i wlepił oczy w podszewkę swej czapki.

— Gin, — odpowiedział otwarcie, — który na rogu ulicy Val i Aberdeen kupują stare panie i czcigodni księża, jest bardzo dobry, ale ja go kupować nie mogę. Nie mam wierzących dusz, któreby mi dawały pieniądze na to......

Reverend patrzał na niego szeroko otwartemi oczami.

— Żeby cię cholera......... — szepnął po cichu, głośno zaś rzekł z wielką uprzejmością:

— Nie rozumiem ani słowa z tego, co mówisz, mój przyjacielu. I proszę cię, odejdź teraz. Ludzie czekają na mnie, kościół pełen publiczności! Chciałbym też nareszcie wiedzieć, po co..........

— All right. I ja mało mam czasu. Przed domem stoi powóz. Pójdziesz ksiądz natychmiast ze mną i dasz ślub...

— Ślub? Teraz?

— Za pół godziny!

— Więc miałem słuszność, twierdząc poprzednio, że jesteś pijanym! Albo waryatem!

— Wcale nie, mister Kollman! — odpowiedział nieznajomy wolno i dobitnie.

Reverend zadrżał. Czerwony jego nos stał się nagle białym, a ręce mimowoli szukały punktu oparcia.

Nieznajomy nie zważał wcale na to wzruszenie i spokojnie mówił dalej:

— Jestem do tego stopnia rozsądnym, mister Kollman, że namawiam cię jak przyjaciel do wypełnienia mego żądania. Nie opieraj się! Jeżeli pójdziesz zaraz ze mną i uczynisz to, co ci rozkażę, to otrzymasz pięćset dollarów, czekiem na City bank i zostaniesz nadal dla świata i twej gminy godnym czci i szacunku pastorem. Jeżeli nie przystaniesz na moje żądanie, pójdę za tobą do kościoła i opowiem zgromadzonym, jak pewien Fred Kollman, znany łotr w Nebrasce, zamienił się w mister Charley Boasa, purytańskiego księdza w Brooklyn-Cost........ Schowaj rewolwer, szanowny księże! Strzał sprawia niepotrzebny hałas! Zresztą myślę, że w przeciągu ostatnich ośmnastu lat wyszedłeś trochę z wprawy. Ja strzelam lepiej niż ty! Idźmy teraz!

Reverend Boas ledwie żył z strachu. Milcząc. wstał, pozwolił się ująć pod ramię i wyszedł z nieznajomym.

Job własnym nie dowierzał oczom.

— — — — — — — — — —

Po upływie godziny zatrzymał się powóz w okolicy, której Boas, pomimo długoletniego pobytu w Nowym-Jorku wcale jeszcze nie znał.

Na łączce, otoczonej ogrodami sąsiednich wil stało kilka małych domków, biało pomalowanych, o nizkich czerwonych dachach i zielonych okiennicach. Wyglądały one jak zabawki, które dzieci rozrzucają bezmyślnie.

Lecz nigdzie nie było widać żywej istoty.

Towarzysz Boasa zapukał do jednego z domków i drzwi otworzyły się natychmiast wolno, bez szelestu. Boas stanął w ogromnej sieni, wypełniającej zapewne cały dom, i słabo oświetlonej starożytną lampą, wiszącą pod sufitem. Obok kominka znajdowały się drzwi, po prawej zaś stronie ściany była obszerna, wmurowana szafa. Z owej szafy wypływały krople jakiejś brunatnej cieczy i zbierały się w małą kałużę na posadzce.

Była to krew.

Reverend struchlał. Myśląc, że zostawiono go tu samego, obejrzał się na drzwi, któremi wszedł i jednym skokiem stanął przy nich. Lecz w tejże chwili położył mu ktoś rękę na ramieniu i głos jakiś dał się słyszeć:

— Dokąd się to ksiądz wybiera?

Charley Boas jęknął. Przed nim stał mężczyzna wysoki, wytworny, w fraku i lakierkach, lecz z maską na twarzy. Na białej westce jednak było także kilka kropli, takikch samych jak te, które płynęły z szafy. I na rękach,

na które zamaskowany szybko teraz wciągał białe rękawiczki, były również ślady onych kropli......

Ponieważ Reverend spoglądał nieustannie na szafę, przeto zamaskowany stanął tak, że zasłonił ją sobą i rzekł dobitnie:

— Proszę się tu nie zajmować niczem innem jak tylko tem, co ja powiem! Jesteś ksiądz gotów dać mnie i mej narzeczonej ślub podług przepisów twego kościoła?

— Muszę — ale — tego — ja — szeptał Reverend drżącemi ustami.

Zamaskowany poruszył się niecierpliwie.

— Bez namysłów, — zawołał. — Czego ksiądz chcesz jeszcze? O co chcesz się spytać?

— O nazwiska!

— Nazywam się Henry Torstbak, moja narzeczona zaś Ewa Lewis. Gdybyś po wyjściu ztąd, wspomniał komukolwiekbądź o tem, co tu widziałeś lub słyszałeś, to w przeciągu dwudziestu czterech godzin pożegnasz się z tym światem! Czarna ręka dotrzymuje zawsze tego, co przyrzeknie.

Mówiąc to podał na wpół przytomnemu Boasowi kartkę wizytową z osławionym znakiem tajnego stowarzyszenia.

— Czego jeszcze potrzeba? — dodał.

— Papierów — metryki — —

— Nie mamy ich. Otóż moja legitymacya......

Wyjął pugilares, lecz nie umiał w nim szukać. Przerzucił mnóstwo papierów i nie znajdując tego, o co mu chodziło, włożył pugilares napowrót do kieszeni.

— Wszystko to zbyteczne, — zawołał. — Jestem tym, któremu ksiądz ma dać ślub i na tem koniec. Proszę tylko nie mówić ani słowa więcej nad to, co koniecznie jest potrzebnem. Przedewszystkiem proszę nie pytać mnie o nic w obecności mej narzeczonej — żądam takich pytań, na które wystarczy odpowiedź tak lub nie. Zresztą nie troszcz się o nic i spiesz się. Nie mam dużo czasu do stracenia!

— — — — — — — — — —

Przyległy pokój był nędznie urządzoną sypialnią. Przy drzwiach stał ów olbrzym, który Boasa tu przywiózł, i patrzał uważnie na każdy ruch młodziutkiej dziewczyny, która stała na środku pokoju z zawiązanemi oczami.

— Ty jesteś Henry! — zawołała, usłyszawszy wchodzących. — Nareszcie! Czemu mi ten okropny człowiek zawiązał oczy? Czy to konieczne? Czemu nie mam widzieć księdza? Odpowiedz mi! Ach, Henry!

Z cichem westchnieniem oparła główkę na ramieniu zamaskowanego, który milcząc, objął lekko jej postać.

Ewa była prawie jeszcze dzieckiem. W długiej białej koronkowej sukni, w białych jedwabnych trzewiczkach, z rozpuszczonemi jasnemi włosami, wyglądała jak mała dziewczynka, przebrana w strój matki lub starszej siostry.

Zamaskowany dał znak Boasowi, aby rozpoczął swoją czynność.

Charley Boas odmówił modlitwę wstępną, którą powtarzał już tyle razy, że umiał ją na pamięć. Ale gdy przyszło do pytań, zatrzymał się — zapomniał bowiem nazwiska narzeczonego.

— Zapomniałem, — szepnął, — proszę mi raz jeszcze wymienić nazwisko........

Zamaskowany zacisnął pięści i milczał.

Ewa zdumiona tem milczeniem, podniosła głowę.

— Odpowiedz, — zawołała. — Co ci jest, Henry? Przed godziną jeszcze byłeś w takim dobrym humorze, a teraz...........

Zamaskowany posiniał.

— Henry Torstbak.......... — wyjąkał.

W tejże chwili rozległ się przerażający krzyk Ewy. I zanim się stróże jej spostrzegli, zdarła chustkę z oczu i jak nieprzytomna wpatrzyła się w zamaskowanego. Szalony strach ogarnął całą jej istotę.

— To nie Henry! — krzyknęła z rozpaczą. — To nie on! To jest....... Boże mój!

— — — — — — — — — — — —

Tego samego wieczora siedziało dziwnie mieszane towarzystwo w jednej z chat blokowych, zamieszkanych przez rybaków w północnej części Nowego-Yorku, w Nechawken, nad brzegiem Hudsonu.

Jeden z szpiegów zdawał sprawę z swych czynności przywódcy Mafiosów.

— Wiem od znajomego policyanta, — mówił, — że zamach udał się. Wszystko odbyło się prędko i cicho. Córka miljardera powinna być tu już od trzech godzin, gdyby nie.........

— Cóż takiego?

Wszyscy pochylili głowy i słuchali uważnie.

— Gdyby nie było zdrady. Ostrzegałem was przed Torstbakiem, owym narwanym skrzypkiem. Nie słuchaliście mnie, a teraz stało się to, co przewidywałem: posłużył się nami, aby porwać dziewczynę i aby wymódz na starym zupełnie coś innego, niż to naszym było zamiarem!

Głośne klątwy i groźby dały się słyszeć z wszystkich stron izby.

— Ależ to niemożliwe, — zawołał jakiś czarnooki stary Włoch. — Gdzieżby się był podział Franzesco Marcha, który miał pilnować Torstbaka!

— Mój kochany, — odrzekł szpieg wzruszając ramionami, — co do waszego przyjaciela Marcha — to ja zupełnie odrębne o nim mam zdanie. Zanadto się narzucał na odegranie roli sławnego Perosiniego i oprócz tego zdaje mi się, że on równie zakochany w Ewie Lenis, jak Torstbak. Gdyby nie to, umiałby Marcha sam załatwić wszelkie sprawy.

— Byłby szalonym! Zna przecież nas dostatecznie i wie, że Czarna ręka jest najsilniejszą i najpotężniejszą na całym świecie!

— Dla tego właśnie, że wie o tem, rozwija potrójną czujność i nie czuje się bezpiecznym.

Jeden z starych Mafiosów, w ubraniu rybaka, lecz o ruchach i sposobie mówienia wielkiego pana, wstał teraz i włożył na głowę czarną, czerwonym pasem oszytą, czapkę.

Głęboka cisza zapanowała w izbie.

— Zdaje mi się, — zaczął przewodniczący, — że wszystkie te obawy i podejrzenia są nieuzasadnione. Przypadek, nam dotąd jeszcze nie wiadomy, mógł opóźnić przybycie miss Lenis. Czekajmy jeszcze do rana. Jeżeli do szóstej nie będziemy mieć dziewczyny w naszych rękach, w takim razie jest zdrada widoczna i wtedy nie zawahamy się z wymierzeniem kary zdrajcy!

Bez szemrania zgodzili się wszyscy na życzenie przywódzcy — i czekali...

ROZDZIAŁ IV.

Na parowcu „Następca tronu“ wstali podróżni od obiadu, a że drobny, zimny deszcz padał już od rana, przeto porozchodzili się wszyscy pasażerowie pierwszej kajuty do rozmaitych salonów na dole.

Kilku tylko Anglików, okrytych gumowemi płaszczami, biegało pomimo deszczu i zimna po pokładzie — dla strawienia obiadu.

Na skręcie koło komina spotkali jakąś panią, która ściągnęła natychmiast kapiszon na twarz i odwróciła się, niechcąc być poznaną.

Anglicy ukłonili się i popędzili dalej, a gdy się oddalili tak, że nikt ich słyszeć nie mógł, dotknął John Barleigh, wysoki, chudy Szkot o wielkich, ostrych zębach, ramienia swego towarzysza i szepnął:

— Bob!

— Co?

— Założyłbym się o nie wiem co, że to była nasza niemiecka królowa brylantów.........

Bob Stanfield wyjął cygaro z ust i splunął.

— Przegrałbyś zakład, Jowny, — odrzekł.

— Myślisz? Zkąd wiesz o tem?

— Baronowa bardzo jest wrażliwą na deszcz i zimno, jak wszystkie Niemki! Zresztą widziałem ją poprzednio w sali muzycznej.

— All right. Ale czy jeszcze tam jest?

— Możesz się sam zaraz o tem przekonać.

Po tem umilkli i przechadzali się dalej, chociaż deszcz padał coraz gwałtowniej. Fale morskie uderzały o parowiec z taką siłą, że rozlewały się na pokład i tworzyły tam formalne jezioro.

Bob nie zapalał już cygara. Rzucił je w morze i wyjąwszy jedwabną chustkę z kieszeni, otarł nią mokrą zupełnie twarz. A twarz ta niezwykle była piękną. Może zbyt miękkie miała rysy, zbyt może była delikatną — w każdym razie taką głowę Apolina nie często spotyka się w Anglii.

Trzecim i najstarszym z tego towarzystwa był kupiec zboża z Portsmouth, zapisany na liście pasażerów jako Bernard Fish. Nie brał on dotychczas żadnego w rozmowie udziału, ale teraz spojrzał uważnie na Boba i zapytał nagle:

— Jak właściwie stoisz z nią?

— Z kim?

Mister Fish skrzywił usta w szyderczym uśmiechu.

— Damned, Bob, — rzekł, — tępego jesteś widać pojęcia od niejakiegoś czasu. Nie pytam o owe jasno i ciemnowłose gąski, które wpatrują się w ciebie z niekłamanym zachwytem , i z któremi flirtujesz tak zawzięcie. Mam naturalnie baronową na myśli!

Lekki rumieniec przesunął się po twarzy pięknego Anglika. Energicznym ruchem ręki wcisnął czapkę na czoło i rzekł niechętnie:

— Czemu pytasz o to?

— Przecież to nietrudno zgadnąć. Przez pierwsze trzy dni byłeś zachwycony okazyą, jaka nam się sama nasuwała. Ale od wczoraj milczysz, a jutro o tym czasie staniemy w Hobokach.

—— Tak jest, Bobie, — potwierdził John słowa przyjaciela. — Nie chciałem poprzednio mówić o tem tak wyraźnie......... Mógłbyś rzeczywiście powiedzieć, jak rzeczy stoją.

— Jestecie obydwaj głupcami, — zawołał Bob, usiłując szorstkością pokryć zmieszanie. — Czy koniecznie trzeba mówić o wszystkiem? Zdaje mi się, że wystarczy, gdy osięgnę cel zamierzony. Jeżeli jednak chcecie wiedzieć, to powiem wam, że naznaczyła mi dziś schadzkę wieczorem.

— A do djabła! — zaklął John Barleigh i cmoknął językiem.

Fish zdawał się być niezadowolonym. Przez chwilę stał milczący, zamyślony, poczem podniósł głowę i rzekł:

— Rendez — vous, hm — to bardzo piękne — dla ciebie. Ale gdzie zostaje najważniejsze — jeżeli się spotkacie w jednym z salonów lub tu na pokładzie? Może ona idzie już na oznaczone miejsce i ty omyliłeś się co do czasu......

— Śmieszny jesteś, — mruknął piękny Bob wzruszając ramionami. — Ona czeka na mnie w swoim salonie! Pójdę tam zaraz po odejściu służącej!

— To coś innego! — pochwalił Bernard Fish z uśmiechem. — Ale czemu taiłeś się dotąd z tą wiadomością, za którą warto zapłacić z dziesięć tysięcy dollarów.

— Bo........

Piękny Anglik umilkł nagle i zarumieniwszy oparł się o poręcz z odwróconą twarzą.

Towarzysze jego zamienili znaczące spojrzenie i zbliżyli się do niego. John uśmiechał się, Bernard Fish zaś położył mu rękę na ramieniu i rzekł ostro:

— Nie rób głupstwa, mój chłopcze! Dla takiej sprawy jak nasza, musi milczeć serce, które się widocznie w tobie budzić zaczyna! O tem ani mowy być nie może! I nie bądź zanadto skromnym — bierz wszystko, co ci w ręce wpadnie. Po nieudanych zamachach w Berlinie i Frankfurcie nie przyjmą nas przełożeni w chacie nad Hudsonem zbyt serdecznie — musimy więc koniecznie naprawić nasze niepowodzenie. Obecny interes jest pewny i świetny i nie grozi nam żadnem niebezpieczeństwem. Bylebyś się zgrabnie zabrał do tego! Kobiety nieraz wolą ponieść stratę niż narazić się na kompromitacyą. Niech ci tylko dokładny poda adres! Można ją będzie skubać listownie jeszcze......

— Nie, ja na to nie pozwolę, — krzyknął Bob gwałtownie.

John i Fish zdumieni spojrzeli na niego. Potem roześmieli się głośno i nie zważając na jego opór, ujęli go pod rękę z obydwóch stron i pociągnęli z sobą.

— Pójdź, my derling, — upominał go po ojcowsku Bernard Fish. — Musisz się wykąpać i wziąść zimną tuszę Potem będzie ci zaraz swobodniej i weselej na duszy!

— — — — — — — — — — — —

Młoda, wytworna kobieta była tak przestraszoną niespodziewanem spotkaniem trzech Anglików na pokładzie, że długo nie mogła się uspokoić.

I dopiero, gdy była przekonaną, że Anglicy już jej nie obserwują, poszła dalej.

Przebiegła szybko koło otwartych okien mezkiego pokoju i oglądając się uważnie na wszystkie strony, weszła na pomost na drugie piętro. Tutaj padał deszcz tak, że przez chwilę formalnie oddech jej w piersi zamarł, lecz potem otrząsnęła się i szła dalej aż do miejsca, gdzie przymocowane były łodzie ratunkowe. Tu, pomiędzy dwiema barkassami błysnął na mgnienie oka ogień cygara lub papierosa i ten słaby blask wskazał jej drogę.

W następnej chwili stanęła obok ukrytego tam mężczyzny, który ujął jej rękę i przyciągnął do siebie.

— Jesteś punktualną, najdroższa, — rzekł, rzucając papierosa w morze i zsuwając kapiszon z jej czoła.

— Tyle miałam przeszkód....... — odpowiedziała z cichem westchnieniem, — że wątpiłam już, czy będę mogła przyjść!

— Myślisz, że cię kto śledzi?

— Nie wiem, Flavio! Ale wszyscy pragnęli mnie zatrzymać jeszcze w salonie! Rychlejsze wyjście moje podpada zawsze — zanadto mam wszędzie wielbicieli!

Mówiła bez wszelkiej zalotności — była to raczej skarga niż chęć pochwalenia się.

Młody człowiek uśmiechnął się zadowolony. Ale uśmiech jego znikł natychmiast, gdy spojrzał w wielkie, niespokojne oczy kobiety.

— Nie powiedziałaś mi jeszcze wszystkiego, — zawołał.

— Spotkałam poprzednio tych trzech cudzoziemców...

— Sapristi! — zaklął cicho. — Czemu nie wróciłaś?

— Nie zważali na mnie, bo mnie nie poznali. Jestem tego zupełnie pewną.

— Chociaż... Stajesz się w ostatnich czasach trochę nieostrożną, Noro!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Rozczarowanie.

12 Powieść z spółczesnego haremu tureckiego.

(Ciąg dalszy.)

Gdy zbliżali się do doliny, Andrzej opuścił przyjaciółki dla ostrożności, lecz szedł za niemi oczyma, postępując w pewnej odległości.

Trójka śmiałków oddalała się statecznym krokiem, Zeyneba z jednej, Melek z drugiej strony Dżenany. Stracił je z oczu dopiero, gdy przyszły do „świętego gaju“ platanów olbrzymich, na drugim końcu doliny.

Słońce znikło za wzgórzami. Inne zakapturzone postacie, które przez długi czas siedziały tu grupami na trawie, oddalały się powoli jakby cienie. Fujarki pastuchów poczęły w oddali swą dziwną muzykę w celu zgromadzenia kóz i wkrótce zrobiło się pusto i cicho na skraju lasów ogromnych pod niebem wyiskrzonem gwiazdami.

Andrzejowi trudno przychodziło rozstać się z tem miejscem i powrócić na drugi brzeg. Wioślarzom swym, czekającym już tam, polecił przy powrocie nie spieszyć się i tak bez wypadku dobili do europejskiego brzegu. W Terapii zapalono właśnie w hotelach elektryczne lampy i strojono instrumenty wrzekomo „wzmocnionej“ w rzeczy samej zaś nędznej orkiestry.

XXVI.

Listy, które Andrzej odebrał nazajutrz.

d. 18 września 1904.

„Przyjacielu! Mam Ci wskazać przedmiot, który powinieneś zużytkować, gdyż z pewnością byłby pod tytułem: W haremie“ najwięcej zajmującą kartą całej książki? Otóż uczucie próżni, które powstaje w naszem życiu wskutek tego, że jesteśmy skazane wyłącznie na przestawanie z kobietami, że ciągle jesteśmy między sobą. A nasze przyjaciółki? O! są one tak słabe i tak znużone jak my. W haremach naszych słabość albo raczej słabości, w takiej ilości nagromadzone, zły mają wpływ na dusze; wszystkie cierpią nad tem, czem są, i pragną mocy. O! Jednego tylko, z którym te biedne, opuszczone, poniżone istoty mogłyby pomówić i zamienić swe niewinne, nieśmiałe myśli!... Trzeba nam przyjaciela, silnej ręki męzkiej jako oparcia, która byłaby dosyć silną, aby podnieść nas znowu, gdy grozi nam niebezpieczeństwo upadku ducha. Niechodzi tu o ojca, o męża lub brata, lecz o przyjaciela, którego wybrałybyśmy sobie z sfery górującej nad naszą własną, który byłby surowy a dobry, tkliwy a poważny i kochał nas jak opiekun i przyjaciel.

Takich przyjaciół znajduje się może w Twych kołach?..

Zeyneba.

„Są istnienia, w których nic nie ma...“ Odczuwasz, ile strasznego zawierają te słowa? Biedne dusze uskrzydlone, które trzymane są w więzieniu, — biedne serca, w których krążą młode soki, a którym wzbronioną jest wszelka działalność, — którym nic nie wolno robić, nawet pożytecznych rzeczy i które strawiają się same, albo więdną w niedosięgłych marzeniach...

Możesz wyobrazić sobie jak smutnie przechodziłyby dni Twych trzech przyjaciółek, gdybyś nie był się pojawił. Jeden dzień tak jak drugi pod opiekuńczą strażą starych wujów, starych kobiet, których wieczny brak humoru odbija się na nas.

Z dramatu mego małżeństwa pozostała głęboko w mej duszy niechęć do miłości, jak ją u nas rozumieją. Wiedziałam już poniekąd, że miłość na zachodzie przedstawia się inaczej, rzuciłam się zatem z zapałem na studyum wszystkiego odnośnego w literaturze i historyi. Poznałam wtedy miłość jako pobudkę wielu szaleństw, nawet wielu bezeceństw, ale niemniej wielu pięknych postępków i licznych czynów bohaterskich. Z jaką goryczą porównywałam nasze niewolnicze położenie z wolnością kobiet na zachodzie!... O jak szczęśliwe są kobiety w tych krajach! Od niepamiętnych czasów myśleli o nich mężczyzni, za nie się bili i za nie cierpieli. Szczęśliwe te kobiety mogą dowolnie rozporządzać swą ręką i mają prawo żądania od wybrańca dowodów na to, że zasługują na wyszczególnienie.

Tymczasem u nas kobiet na wschodzie wszystko prawie spoczywa jeszcze we śnie! Świadomość naszej wartości i naszego pognębienia poczyna zaledwie kiełkować, a wiele kobiet odwraca się nawet od projektowanego dzieła naprawy częścią z lenistwa, częścią z nierozsądku, wzruszając ramionami.

Teraz Ty, Andrzeju, przyszedłeś nam w pomoc i my trzy jesteśmy na Twe usługi, czy to jako sekretarki, czy to jako reporterki, a jeźli to nie wystarczy, wiele innych sióstr naszych dostarczy Ci informacyi.

Będziemy mogli jeszcze raz lub dwa razy spotkać się gdzie nad Bosforem, przed powrotem do miasta. Ale lękam się! Nie utraty Twej przyjaźni, gdyż nie dopuszcza ona najmniejszej wątpliwości w naszem pojęciu, ale lękam się zmartwienia... potem później, po Twym odjeździe!...

Żegnaj, przyjacielu! *Mój przyjacielu!* Niechaj szczęście Cię nie opuszcza! Dżenana.

„Z pewnością Dżenana zapomniała opowiedzieć Ci, że ta pani w różowej sukni, która niedawno wieczorem u pani de Saint-Enogat paliła z Tobą papierosy — pani de Durmont, jeźli chodzi o jej nazwisko, była dziś u nas całe popołudniu i śpiewała duety ze Zeynebą. Potem mówiła tak wiele i z takim zapałem o Tobie, że zaprzyjaźniona z nami Rosyanka, która także była przy tem, nie mogła się dość temu wydziwić. Obawiałyśmy się, czy pani de Durmont nie powzięła podejrzenia i nie zgotowała na nas zasadzki. Więc oczerniłyśmy Cię tak, że nic dobrego nie pozostało, przytem przygryzając sobie języki, aby się nie śmiać. Ale ona brała to za dobrą monetę i broniła Cię z największą gwałtownością. Innemi słowy: cała jej wizyta była przeciwstawieniem uczuć naszych i jej i wzajemnemi przesłuchami. O! Andrzeju, co z Ciebie za szczęśliwy człowiek!...

Wymyśliłyśmy całą furę planów dla upozorowania i umożliwienia naszego spotkania. Ale wpierw jedno pytanie: czy Twój kamerdyner, który ma być wiernym i godnym zaufania, umie obchodzić się z końmi i powozić z kozła? Jeźli tak, to można by wystroić go w fez, wsadzić na kozieł, a my

moglibyśmy zrobić razem przejażdżkę w zamkniętym powozie. Ale wszystko to musimy jeszcze omówić przy naszem najbliższem spotkaniu.

Twe trzy przyjaciółki przesełają Ci piękne i serdeczne pozdrowienia. Melek.

P. S. Proszę nie zapomnieć o jutrzejszym dniu „Słodkich Wód“! Postaramy się, aby się także tam stawić. Przyjedź, jak poprzednio, na swym kaiku z strony azyatyckiej przed naszemi oknami. Jeźli ujrzysz wystający przez lufcik w futrunie okna róg białej chusteczki, będzie to oznaczało, że wyjedziemy w Twe tropy. Jeźli atoli chusteczka będzie koloru niebieskiego, będzie to sygnałem: „Katastrofa! Twe przyjaciółki uwięzione!“ M.“

Do końca sezonu powtarzały się przy „Słodkich Wodach Azyi“ potajemne ich spotkania. Zwykle w piątki, o ile pogoda pozwalała i w środy, w którym to dniu także zbiera się wiele osób na pięknym cienistym brzegu — przejeżdżał kaik Andrzeja kilkakrotnie obok barki trzech przyjaciółek. Ale nie dawał on niczem do poznania setkom kobiet zebranych na brzegu że zna się z temi trzema postaciami.

O ile pozwalały okoliczności Zeyneba i Melek odważały się na lekki uśmiech przez czarne gazowe osłony. Tymczasem Dżenana pozostała wierną potrójnemu czarnemu welonowi, który tak ją osłaniał tajemnicą jak maska. Wprawdzie w innych kaikach, gdzie siedziały kobiety, dziwiono się nad tem, ale nikt nie śmiał myśleć przy tem nic złego, zwłaszcza że miejscowość nie nadawała się wcale do zdrożnych rzeczy. A kto rozpoznał ją po liberyi wioślarzy, poprzestawał na uwadze, wolnej od złośliwości: „ah, ta mała Dżenana Tewfik-basza odznaczała się zawsze oryginalnością“...

XXVII.

Dżenana do Andrzeja.

29. września 1904.

Nowe, nieznane dotąd ogarnia nas uczucie na myśl, że między tłumem wycieczkowiczów przy „Słodkich Wodach“ mamy przyjaciela! Pomiędzy cudzoziemcami, którzy zawsze pozostaną dla nas niezrozumiałymi a dla których my jesteśmy dziwacznemi straszydłami na wróble, mamy przecież jednego, którego wzrok nas szuka i to właśnie nas między równie zawualowanemi kobietami! I przeczuwamy, że myśl jego towarzyszy nam z przyjaznem współczuciem!

Gdy kaiki nasze złączyły się, nie mogłeś mnie dojrzeć przez mój gęsty welon, a ja uśmiechałam się do Twych oczu zwróconych ku mnie.

Czy to dlatego, że byłeś tak dobrym, tak szczerym, tak istotnie przyjacielskim dla mnie, niedawno tam na wzgórzach nad Czarnem morzem podczas naszej przechadzki? Albo może dlatego, że w listach Twych, lubo krótkich, wyczuwam teraz trochę istotnej skłonności do mnie? Nie wiem; dość że nie wydajesz mi się tak dalekim...

O! gdybyś mógł odgadnąć jaką wartość ma idealne uczucie jak nasze, z podziwu i tkliwości złożone, dla dusz tak bardzo długo ciemiężonych?! Dżenana.

Prowadzili ożywioną korespondencyą w końcu sezonu z powodu swych niebezpiecznych schadzek. Przyjaciółki mogły mu przesełać listy snadnie przez oddanego sobie murzyna, który przyjeżdżał w barce do Terapii, lub spotykał go wieczorem w dolinie „dygnitarza“. A on, który dotąd mógł posługiwać się tylko listami „poste-restante“, przesełał im odpowiedź najczęściej za pomocą znaków, przejeżdżając kaikiem pod ich oknami.

Chodziło o to jeszcze, aby wyzyskać ostatnie dni nad Bosforem przed powrotem do miasta, gdzie pilnowano je o wiele baczniej. Już dawała się odczuć zbliżająca jesień, zwłaszcza wieczory bywały mroczne. Ciężkie, czarne chmury nadciągały z północy z wichrami z Rosyi i padały deszcze, które obracały w niwecz doskonale wypracowane i ukartowane plany schadzek.

Opodal doliny Beiko, na opustoszałym, nieznanym terenie odkryli mały, dziki lasek, w pośrodku którego znajdował się staw z wodnemi kwiatami. Był to całkiem bezpieczny zakątek, zamknięty przez strome urwiska i nieprzenknione, zielone, chwasty. W pobliżu jedynego przystępu czuwał Jan Renaud, który zaopatrzony był na wszelki wypadek w gwizdawkę. Dwa razy zgromadzili się spiskowcy w tem zadrzewionem ustroniu, gdzie rozsiadali się na tu i owdzie leżących głazach mchem porosłych wokoło Andrzeja i naiwne toczyli gawędy.

Ostatni piątek przy „Słodkich Wodach“ przypadał na dzień 7 października. W następnym tygodniu miały poselstwa powrócić do Konstantynopola i w starym domu, w którym mieszkały trzy przyjaciółki, przygotowywano się również do przeprowadzenia. Wszystkie inne domy nad Bosforem miały niebawem zamknąć swe podwoje i okna na sześć miesięcy i wynieść się przed wichrami, ulewami i zawiejami śnieżnemi.

Andrzej i przyjaciółki jego dali sobie słowo zrobić wszystko co tylko się da, aby spotkać się w ten ostatni piątek przy „Słodkich Wodach“, bo przyjemność ta kończyła się, a przyszłoroczne lato zanurzone było w niepewności.

Powietrze było groźne, ale Andrzej mimo to pojechał w swym kaiku na schadzkę, mówiąc sobie: dzisiaj przy podnoszącym się wichrze nie pozwolą im wyruszyć się z domu“. Gdy jednak przejeżdżał pod ich oknami, ujrzał koniuszek białej chusteczki, którym targała Melek, co oznaczało: „pozwolono nam! Jedź naprzód! My za Tobą!“...

Dnia tego nie było wiele osób, prawie wcale nie dostrzegł Andrzej Europejczyków tylko Turków, głównie kobiety. Nastrój panował wogóle przygnębiony: w oczach kobiet, które na cześć ostatniego dnia świątecznego uniosły wuale, było można wyczytać wiele smętku ze względu na rozpoczynającą się zimę.

Kaik Andrzeja mijał się kilkakrotnie z barką przyjaciółek, które również zdawały się bardzo poważnie usposobione. Nawet Melek, zwykle wesoła, była bardzo smutna, co można było zauważyć mimo wualu. Wcześniej niż zazwyczaj opustoszał plac spacerowy, przybysze nie pozostali nawet, aby podziwiać przepiękny obraz, na jaki składa się Bosfor z otoczeniem przy zachodzie słońca.

Trzy przyjaciółki odjechały już także, nie miały bardzo dalekiej drogi do swego, zwykle tak strzeżonego domu, gdzie czekali na nie murzyni. Natomiast Andrzej, który musiał przeciąć cieśninę i następnie po przeciwległej stronie jechać pod wiatr, przybył do Terapii dopiero gdy zapanowała noc. Wioślarze jego byli jakby skąpani, tak spocili się przy pracy wiosłami i tak przemoczeni byli wodą morską, pryskającą pod naporem silnego wiatru. Andrzej zabrał biednych wioślarzy ze sobą do domu, aby tam osuszyli się, wypoczęli sobie i pokrzepili się.

Taki był koniec letniego sezonu nad Bosforem.

XXVIII.

Od dwóch tygodni Andrzej mieszkał znów w Pera i już raz w uliczce bez wyjścia widział się z przyjaciółkami w starym domku i przy tej sposobności przedstawiono mu nową nieznajomą, tak dalece zakapturzoną pod czarnemi gęstemi welonami, że głos jej zamierał.

Nazajutrz otrzymał Andrzej następujące pismo:

„Ja jestem tym małym upiorem wczorajszym, panie Shery! Nie mogłam z panem rozmawiać ale pozwól pan, że jako materyał do książki, którą nam pan wszystkim obiecał, opowiem panu przy jakiej to pracy spędza dzień zi-

mowy turecka kobieta. Więc rozpoczynam: wstaje późno, bardzo późno. Ubiera się powoli, ociągając się przy czesaniu długich, za gęstych i za ciężkich włosów. Potem przegląda się, przystraja przed zwierciadłem i smutno jej, że młodą jest i ujmującą... Potem przechodzi przez milczące salony aby się przekonać czy wszystko w porządku. Z kolei następuje przegląd różnych, nam osobiście miłych przedmiotów pamiątkowych: fotografii itp., których doglądanie jest ważnem zajęciem.

Śniadanie. Często siada do niego sama jedna, w dużej sali w otoczeniu murzynek lub czerkieskich niewolnić. Zimno ją przejmuje, gdy dotyka się srebrnego sztućca i zimno w jej duszy... Gawęda z niewolnicami, których odpowiedzi nie ma się cierpliwości wysłuchać. I cóż teraz robić do wieczora?

Dawniejsze haremy, w których było więcej kobiet, musiały być mniej smutne, bo dotrzymywano sobie wzajemnie towarzystwa. Więc cóż? Malować akwarelą? (Bo my wszystkie, panie Shery, doskonale malujemy akwarelą. Ileż to już namalowałyśmy wachlarzy, ściennych ozdób, albumów itd.) Albo grać na fortepianie lub na gitarze? Albo czytać? Książkę Pawła Bourgeta czy Andrzeja Shery'ego? Lub wreszcie szyć? Podjąć znowu jednę z naszych długich, złotych robót haftowych, aby samej dziwić się jak zgrabnie potrafią wyszywać nasze delikatne, lśniącemi pierścieniami obładowane ręce?

Pragnie się czegoś nowego i oczekuje bez nadziei. Czegoś nieprzewidzianego, co lśniłoby się, wniosło ruch, życie, hałas... Ale nie przychodzi to nigdy. Chciałoby się wyjść na spacer bez względu na błoto i śnieg, bo od dwóch miesięcy noga nie postała na ulicy, ale samej chodzić nie wolno. A nie nastręcza się nic co możnaby podać jako pozór do wyjścia po sprawunek.

Brak przestrzeni, powietrza... Nawet mając ogród, nie można w nim prawie oddychać, bo mury wokoło zbyt wysokie.

Ktoś dzwoni!... Co za radość, gdyby była to jaka katastrofa! Albo przynajmniej wizyta!

Tak, wizyta, bo słychać niewolnice biegnące po schodach. Więc pani domu powstaje, szybko chwyta zwierciadło, aby oczom nadać właściwy wyraz.

Któż mógłby to być?... Ah, młoda miła kobieta, dopiero od niedawna zamężna. Wchodzi. Wzajemne powitanie, obie ręce wyciągają się, pocałunki czerwonych ust na białych licach.

— Czy nie przychodzę w niewłaściwym czasie? Cóż robiłaś, moja droga?

— Nic! Nudzę się!

— Przybywam, aby zabrać cię z sobą na wspólną przejażdżkę, mniejsza o to dokąd.

Wkrótce zamknięty powóz uwozi je. Na koźle oczywiście nieodzowny murzyn przy woźnicy. „Dilawer“ niezbędny dilawer, bez którego nie wolno nam opuszczać domu ani na krok, a który następnie zdaje raport z tego jak czas przepędzono.

— No, kochasz Ali-bey'a?

— Tak — odpowiada młoda małżonka — ale li tylko dlatego, że kogoś muszę kochać, spragniona miłości. To co mam teraz jest tylko tymczasowo znośnem, później gdy znajdę coś lepszego...

— Ja mego męża nie kocham. Wcale nie. Miłość przymusowa! Nie należę do tych, które uginają się pod naporem okoliczności.

Powóz toczy się szybko, dwa doskonałe konie kłusują dzielnie. Wysiadać nie wolno. To niewypada. Przy wejściu do bazaru wiele ludzi z ludu kupuje sobie pieczone kasztany.

— Jestem głodna — mówi jedna z nich — masz pieniądze?

— Nie.

— Ale dilawer ma pieniądze.

— Dilawer, kup nam kasztanów!

Ale gdzie je złożyć? Panie rozkładają swe mocno perfumowane, koronkowe chusteczki i, kasztany na nich złożone, nasiąkają zapachem heliotropu. To jest wielkiem zdarzeniem dnia — ta dorywcza przekąska, którą spożywają z największą przyjemnością jak kobiety z ludu ale pod welonem i w zamkniętym powozie.

Po powrocie z przejażdżki rozstają się, ucałowawszy się i zamieniwszy kilka utartych frazesów:

— No, żadnych kaprysów, żadnych żalów, ni ubolewań.

Jednakże obie muszą śmiać się przy tem, tak zużyte są te rady między tureckiemi kobietami.

Przyjaciółka odjechała. Nadchodzi wieczór, pokoje już oświetlone.

Pański mały upiór wczorajszy, panie Shery, jest znowu sam.

Ale teraz bey powraca do domu. Władca domu zapowiada swe przybycie szczękiem pałasza na schodach. Biednej pani domu jeszcze zimniej na sercu. Z przyzwyczajenia przegląda się w lustrze i znajduje się w istocie ładną.

— Wszystka ta uroda dla niego?... — myśli sobie. — Jaka szkoda!

Władca spoczywa wyciągnięty na stosie poduszek i bez wstępu poczyna opowiadanie temi słowy:

— Wyobraź sobie, moja droga co zdarzyło się dzisiaj wieczorem w pałacu...

— Tak, pałac, koledzy, nowa broń, karabiny — to wszystko co go interesuje, zresztą nigdy nic.

Ona nie słucha prawie wcale. Zbiera jej się na płacz a on nazywa ją z tego powodu „waryatką“. Więc prosi o pozwolenie, aby mogła odejść do sypialni i tam płacze, szlocha, wtulona w jedwabne, złotem i srebrem lamowane poduszki, podczas gdy o tym samym czasie Europejki w Pera udają się do teatrów lub na bale — ładne, kochane, skąpane w strumieniach światła...

XXIX.

Od czasu powrotu z nad Bosforu, Andrzej po raz drugi znajdował się z trójką przyjaciółek w tajemniczym domku w sercu Starego Stambułu.

— Nic jeszcze nie wiesz, gdzie spotkamy się najbliższym razem! — rzekła Melek do Andrzeja. — Dla odmiany zejdziemy się gdzieindziej; jedna z naszych przyjaciółek, mieszkająca w Mehmed-Fatih (tj. w Twym ulubionym zakątku miasta, przyjacielu!) ofiarowała się z przyjęciem nas u siebie. Dom jej zupełnie po turecku urządzony, nie posiadający żadnego innego pana, jest istotnie wymarzonym przybytkiem — cichym i bezpiecznym. Zresztą czeka Cię tam niespodzianka. Jest to harem bez porównania wspanialszy od tego i co najmniej równie wschodni w charakterze. Zobaczysz!

Andrzej słuchał tylko półuchem. Powziął postanowienie dnia tego spalić po za sobą okręty, aby tylko módz zajrzeć w oczy Dżenany. Zajęty tą myślą, czuł, że gdyby napotkał u niej na niezłomny opór, musiałby wszystkiemu położyć koniec. Ów nieodstępny czarny welon na jej twarzy był przyczyną nieznośnego uczucia, bolu wzrastającego w miarę jak przywiązywał się do niej. Chciał w końcu wiedzieć co kryje się pod tym welonem. Chociażby tylko na sekundę uchwycić wzrok tej syreny z pięknym głosem, aby zachować go na zawsze w pamięci!... Dlaczego ukrywa się ona tak, gdy tymczasem towarzyszki jej zaniechały tego?... Jaka różnica zachodzi między niemi? Ta czysta, dumna dusza szła bodaj za głosem jakiegoś niewytłumaczonego uczucia...

(Ciąg dalszy nastąpi.)